POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 8-go marca 1941r.*** **Rok III. Nr. 10**

SŁUŻBA POLSKIEJ SPRAWIE

Żeromski w "Przedwiośniu" opowiada o tym, jak traktował swoją służbę dla ojczyzny jeden z niezłomnych epigonów powstania styczniowego, powrócony krajowi po latach zesłania na Sybir. Pracował niestrudzenie, nieprzerwanie, usuwając na bok wszelkie sprawy osobiste, całą materialną stronę życia. Polskę nazywał "Panią swoją najsłodszą, Mocarką największą." Brak egzemplarza "Przedwiośnia" nie pozwala mi na ściślejszą cytatę, ani nawet na stwierdzenie, który to był z ludzi epoki, pozytywistycznej, a przecież tak jeszcze przepojonej najczystszym, twórczym romantyzmem: Krzemiński, Abramowski, czy jeszcze kto inny. Jest to jedna z najgłębszych kart tej powieści, wspaniały fragment rozmów Szymona Gajowca z Cezarym Baryką. Tych to rozmów echo poprowadziło autora do niezapomnianych wizyj lepszej Polski, usymbolizowanej przez świat szklanych domów.

Im ciężej i tęskniej jest na obczyźnie, im częściej pogłos "potępieńczych swarów" dochodzi moich uszu, tym częściej rozpamiętywam opowiadanie Gajowca. Pojmuję doskonale, iż w dziedzinie politycznej bez różnicy zdań obejść się nie może. Wyłącznie dziedzina wojskowa, najważniejsza dla nas i jedynie uzasadniajaca nasz pobyt poza krajem, wolna jest i wolna być musi od kontrowersyj. Nie chcę więc walczyć z wiatrakami, ani wymagać od życia zbyt wielkich, a przeto nierealnych uproszczeń. Chodzi mi o to tylko, aby ustalić, jak w psychice człowieka, walczacego o Polskę, powinien wyglądać stosunek do tej służby. Może uda mi się uwydatnić kilka bezspornych prawd, możliwych do przyjęcia dla wszystkich bojowników.

* * *

Pierwszym warunkiem skutecznej służby Polsce musi być *całkowite* oddanie się tej służbie. Jak w oblężonym mieście ustają wszelkie inne sprawy, a wszystko sprowadza się do zagadnienia obrony, tak u nas na bok odejść muszą najbardziej nawet uwagi godne zainteresowania, wobec tego jednego—służenia sprawie narodowej. W prawie wojskowym, traktowanym dziś nieraz *per non est* przez zbuntowanego przeciw zdobyczom cywilizacji chama, istnieje pojęcie stanu oblężenia, z rygorami większymi, niż przy stanie wojennym. W latach służby wojskowej, gdzie wojny liczą się podwójnie, stan oblężenia liczony jest czterokrotnie.

My dziś, nie tylko ci, co są pod bronią, ale cały naród, czy jego masa w kraju, czy wolna cząstka w Wielkiej Brytanii i na całym świecie, przechodzimy obecnie najbardziej wytężoną obronę narodowego stanu posiadania. Oblegający nas wróg wtargnął do twierdzy, ale nie złamał obrońców. Ani jego bomby i czołgi, ani prześladowania i katusze, nie zniweczyły, bo zniweczyć nie mogły narodu. Tylko barbarzyńca polityczny, niepomny nauki dziejów, zaczynający wszelkie rozumowanie od siebie, może się łudzić, iż eksterminacja się uda. Nie uda się, bo cała moc narodowa, rozum i instynkt, postanowienie i odruch—wszystko jest na usługach woli przetrwania. Stąd płynie owa *całkowitość* służby Polsce.

Całkowitość ta jednak nie znosi załamań, a istota jej wyłącza połowiczność. Całkowicie służyli Polsce w poprzednim okresie niewoli wielcy twórcy ruchu narodowego—Popławski, Balicki i Dmowski; Dmowski teoretycznie uzasadnił prawo człowieka do całkowitego oddania się służbie swego narodu. Całkowicie służyli jej artyści i pisarze, zawsze powracający — wbrew modnym hasłom "sztuki dla sztuki"—do zagadnień, mających wagę narodową. Ich wyobrazicielami są Trzej Wieszcze, a potem Sienkiewicz, Wyspiański, Paderewski. Ten sam typ twórczości przedstawia dzieło Żeromskiego i Struga. Całkowicie—on sam, a nie jego otoczenie—służył Polsce Piłsudski, twórca Legionów, więzień magdeburski i w męce zmagający się mąż stanu.

Wyobraźmy sobie na chwilę każdego z wymienionych w dobie obecnej. Jedyny z nich żyjący, Paderewski, nie uląkł się trudów nad wiek i pojechał służyć Polsce na drugą półkulę. Każdy z tych, co zmarli, rzuciłby na szalę wszystko, aby służby dopełnić całkowicie. I każdy Polak powinien uczynić dziś to samo. Doktrynerstwo, fantazjowanie polityczne, różne majaczenia, mgliste, choć pociągające wielu, muszą być plenione, i to plenione przez jednostki same. Bo przecież są to skłonności umysłów, które dziś ugiąć się muszą przed przemożną rzeczywistością. Za majaki płaciliśmy drogo, zbyt drogo, jak na nasze możliwości.

Służba całkowita—to taka, która widzi przed sobą jeden tylko cel. Niech nam nie mówią, że to będzie jednostronność. Gdy cel osiągniemy, będziemy mogli sobie pozwolić na luksus wielostronności. W tej chwili dziejowej służymy tylko jednemu—wskrzeszeniu niepodległej Polski, zdolnej do wolnego bytu.

* * *

Drugi warunek—to *wierność* w służbie ojczyzny. Musimy sprecyzować tę cechę. Wierność może być bierna lub czynna; potrzebujemy wierności czynnej. Takiej, która legitymuje się wykonaną pracą. Niezłomność, brak wahań, przegnanie od siebie precz wszelkich wątpliwości—oto co cechuje wierną służbę.

Zewnętrzną formułą wierności bywa zazwyczaj przysięga. Taka przysięga, realnie złożona czy tylko w sercu wyszeptana, łączy nas wszystkich. Chroni nas od zdrady, chroni od słabości, chroni od rozmyślań w chwili, gdy wybił moment czynu. Jest to wierność Kościuszki przez cały okres jego walk, wierność Księcia Józefa od kampanii moskiewskiej poprzez kuszenie go koroną i eldoradem powszechnym w Krakowie, aż do Lipska. Wierność Stefana Starzyńskiego, bohaterskiego prezydenta Warszawy. Wierność Żółkiewskiego pod Cecorą i Traugutta, gdy mu stryk na szyję zakładano. Wierność, która sprawia, iż dziesięciokrotnieją siły, a nikły liczebnie huf bohaterów czyni ze straconej pozycji Termopile.

Ta druga cecha—*wierność*—wbrew wszystkiemu, co mówi się o zapalności polskiego charakteru narodowego, odpowiada naszej naturze. Inaczej nie mielibyśmy niezłomnych więźniów Sybiru i fortec zaborczych, nie mielibyśmy nieprzyjmujących amnestii emigrantów popowstaniowych, nie mielibyśmy ludzi, całe życie mierzących polską sprawą. A mieliśmy ich tylu, że doprawdy i inne narody moglibyśmy nimi obdzielić.

Resumujemy: wierność czynna, niezłomna, nieustraszona.

* * *

Trzecią wreszcie cechą skutecznej służby krajowi jest jej *czystość*. Czystość—to przede wszystkim bezinteresowność. Zapomnienie o sobie samym, zagubienie własnego egoizmu w czystej fali uczucia wyższego.

Jest to może rzecz najtrudniejsza do osiągnięcia, bo wymagająca zwalczenia instynktów, nawyków, upodobań ludzkich i mających zresztą prawo istnienia. Tylko to prawo na czas potrzeby narodowej musi ulec zawieszeniu. I jak człowiek porzuca dom i rodzinę, aby iść walczyć za kraj, tak tutaj musi uczynić świadomą, dobrowolną ofiarę z tego, co mu drogie, i—mówiąc słowami poety—"niejedno miłe zburzyć, by inaczej odbudować." Jak z katechizmu znamy miłość doskonałą i mniej doskonałą, tak i tu, w służbie narodowej, zdobyć się trzeba na koncepcję doskonale czystą. Co więcej, rozciągnać ją trzeba na rzeczy, osobistym pokrewne, a jednak całego ogółu nie obejmujące—na sprawy grup, partii, stronnictw, zmuszając je, w miarę możności, do ustąpienia od wymagań egoistycznych na rzecz interesu narodowego.

Są to też procesy nie proste. Tak łatwo jest utożsamić sobie powodzenie swojej umiłowanej idei z lepszą przyszłością ogółu, tak łatwo powiedzieć:—"Jeżeli dziś ustąpię, to może w innych warunkach swojego nie dopnę." A jednak ustąpić trzeba i trzeba z ruiny kapliczek indywidualnych wznosić gmach sprawy narodowej.

Przykłady takiej czystości w służbie publicznej mieliśmy, jak nas uczy Plutarch, nieraz w starożytności. Takim był Cyncynat, i nie darmo wziął go za wzór inny bohater republikański, Jerzy Washington. Do tego typu zbliżał się najbardziej u nas Tadeusz Kościuszko, i stąd ta wielka miłość, jaką swego Naczelnika darzyli współcześni, darzy i będzie darzyła potomność. Mąż stanu skromny, korzący się przed wielkością idei, której służy, zdający sobie sprawę, iż to ona okrywa go blaskiem i pozwala rządzić ludźmi—jakże daleko odbiega od typu dyktatorów, Führerów i imperatorów! Za nim jest idea, rzecz przy fluktuacjach swoich wieczna; tamci znikają bez śladu, nie zostawiając *nigdy* następców. Za nim idą ludzie świadomi, za tamtymi—tłum.

Gdybyż o tym chcieli pamiętać wszyscy, dochodzący do władzy, o ileż bliżsi byli by kierowanym przez siebie współobywatelom! Nigdy na grozie i przymusie, zawsze w ostatecznym wyniku na miłości wspierać się muszą ustroje, które chcą przetrwać. Wiemy o tym dobrze my, którzy dla obrony ojczyzny obraliśmy od początku obóz wolności i praw człowieka.

* * *

Gdy w jeden kryształ o trzech ścianach zamkniemy trzy omówione wyżej cechy skutecznej służby ojczyźnie, gdy służyć jej będziemy *całkowicie, wiernie i z czystością intencji*—zobaczymy, jak wzmoże się potencjalność naszej służby i jak urosną jej wyniki. Prawda: jesteśmy na obczyźnie i w drobnym tygielku smażymy te zagadnienia, które w kraju, na szerszym podłożu, musiały by mieć inny wygląd. Nie mniej—mamy przed sobą, posiadając wśród nas Głowę Państwa oraz Rząd z Wodzem Naczelnym u steru, dość znaczne możliwości realizacji.

Dla umęczonego kraju o zakneblowanych ustach jesteśmy, bardziej, niż kiedykolwiek, reprezentacją jedyną, dowodem trwania po stronie sojuszniczej. Dlatego musimy wzmóc w sobie poczucie odpowiedzialności za każdy czyn, a czynem może być i słowo. To też *jakość* służby, pełnionej dla Polski nie jest rzeczą obojętną. Pełnić tę służbę trzeba tak, abyśmy nie powstydzili się wobec kraju i obcych, wobec współczesnych i potomnych, ani wobec siebie samych. Żeby nade wszystko przywrócić majestat "Pani naszej najsłodszej, Mocarce największej," wobec której my tylko prochem drobnym jesteśmy.

Antoni Bogusławski

Święto Armii Czesko-słowackiej

Dzień 7 marca, dzień Imienin Pierwszego Prezydenta Republiki Czeskosłowackiej, Prezydenta-Oswobodziciela Tomasza Garrigue Masaryka był zawsze w całej Czechosłowacji obchodzony uroczyście jako Święto Narodowe, na równi ze Świętem Państwowym 28 października.

W wigilię 7 marca w każdym mieście i wsi Republiki odbywały się zebrania i akademie, na których ludność wyrażała serdecznie i żywiołowo uczucia przywiązania i wdzięczności dla osoby T. G. Masaryka, tego wielkiego humanisty i demokraty, który zawsze twierdził, iż demokracja i wolność opierają się na szacunku do człowieka, do każdego człowieka.

W dniu 7 marca każdorocznie za życia i po śmierci Prezydenta Tomasza Masaryka—Lud i Armia manifestowały swoje uczucia dla osoby i dzieła Pierwszego Prezydenta Republiki Czeskołowackiej. Otaczał Go czcią i miłością nie tylko lud pracujący miast i wsi, ale w równej mierze Armia Czeskosłowacka, której Masaryk był założycielem wespół z dr. Edwardem Beneszem i generałem Stefanikiem.

Ale nim jeszcze w krajach sojuszniczych powstały pierwsze kadry Siły Zbrojnej, stworzył Tomasz Masaryk przy pomocy innych patriotów czeskich w Czechach i Morawach tajną czeską organizację niepodległościową pod nazwą "Maffie," której działalność w czasie Pierwszej Wojny Światowej przyczyniła się w dużym stopniu do rozsadzenia od wewnątrz i upadku monarchii Habsburgów. Od pierwszych dni Wojny Światowej Masaryk i Benesz byli głęboko przeświadczeni, że tylko militarny udział w wojnie Czechów i Słowaków po stronie Aliantów będzie miał decydujące znaczenie w budowie przyszłego Państwa Czeskosłowackiego. Słusznie pisał T. G. Masaryk już w lutym 1915 roku:

"Jeżeli nie weźmiemy czynnego militarnego udziału w wojnie, nie otrzymamy niczego od nikogo."

I ten 66 letni już wówczas żarliwy patriota czeski z młodzieńczą energią zabrał się do organizowania oddziałów czeskich po stronie mocarstw zachodnich. Oddziały te powstawały z jeńców wojennych Czechów i Słowaków, których w Rosji było około 50.000, w Italii 10.000, we Francji 4.000. Czesi nie chcieli i słusznie przelewać krwi za c. i k. monarchię habsburską, ale w walkach o własną niepodległość krwawili się ofiarnie przeciw wojskom austriacko-niemieckim, czy to na froncie włoskim, czy rosyjskim (słynna bitwa pod Zborowem).

Republika Czeskosłowacka miała armię nawskroś nowoczesną, lotnictwo, artyleria posiadały sprzęt pierwszorzędny (znane zakłady artyleryjskie Skody w Pilznie), motoryzacja armii była daleko posunięta, korpus oficerski był pracowity i fachowo wyszkolony.

W Armii Czeskosłowackiej—wśród oficerów sztabowych i niższych—Polska posiadała zawsze wielu szczerych i oddanych przyjaciół, którzy pragnęli gorąco współpracy politycznej i wojskowej obu Państw. Nasi oficerowie lotnicy przebywający na stażach wymiennych w pułkach czeskich, czuli się tam swojsko i dobrze i w najmilszej pamięci zachowali pobyt swój wśród lotników czeskich.

W ostatnich latach Czechosłowacja gwałtownie i intensywnie rozbudowywała swoją armię i Prezydent Benesz przeważną część swego czasu poświęcał sprawom wojskowym, interesując się osobiście sytuacją i szkoleniem młodszych oficerów.

Mobilizacja generalna w Czechosłowacji w jesieni 1938 r. odbyła się sprawnie, szybko i w największym porządku. Republika Czechosłowacka była przygotowana w jesieni 1938 militarnie i moralnie do wojny i była by nie ulękła się wielokrotnej przewagi niemieckiej, gdyby nie została całkowicie opuszczona przez wszystkich sojuszników i rzucona na pastwę bestii germańskiej w imię "ratowania pokoju" w Europie. W dniu 2 października 1938, w chwili gdy hordy niemieckie wkraczały do Czech, Prymas Czechosłowacji polecił odczytać we wszystkich kościołach Republiki swoje dramatyczne i przejmujące orędzie do ludu czeskiego, w którym błagał Boga Wszechmocnego, by przebaczył tym przyjaciołom i sojusznikom, którzy naród czeski wydali na pastwe wroga.

To należy już do historii. Dziś gdy armie polska i czechosłowacka ramię przy ramieniu gotują sie do ostatecznej rozprawy z odwiecznym wrogiem Słowiańszczyzny, myśli Polaków kierują się do osoby Pierwszego Prezydenta Republiki Czeskosłowackiej Tomasza Masaryka, który wiele lat temu wypowiedział już te głęboko prawdziwe i na setki lat aktualne słowa:

"**B e z w o l n e j P o l s k i n i e m a w o l n e j C z e c h o s ł o w a c j i, b e z n i e p o d l e g ł e j C z e c h o s ł o w a c j i n i e m a n i e p o d l e g ł e j P o l s k i.**"

Adam Ostrawski

POLSKA 1940

V.—Stosunek do okupantów*

Dużo jest w Polsce niemieckiego wojska i policji, ale mimo to wielu Polaków nie widzi Niemców całymi tygodniami. Wszędzie odczuwa się żelazną łapę okupanta, wszędzie są spowodowane przez niego braki gospodarcze, ale nie wszędzie spotyka się Niemców. Nie ma ich w zapadłych, odległych od kolei wioskach. Nie lubią złych dróg, a przy tym czują się między Polakami trochę nieswojo. . . . Gdy się zjawiają, to raczej w dużych gromadach, lecz to znowu nie może być często. W wielu małych miasteczkach nie widzi się też niemieckich mundurów; jest niemiecki burmistrz, paru pocztowców, jakiś policjant i na tym koniec. Zato w niektórych większych miastach jest ich zatrzęsienie. Mają swoje kwatery, kasyna, *Bierhalle*, swoje kina, kluby sportowe. Tam czują się dobrze, spacerują po ulicach (wieczorami często pijani) i nadają miastu niemiecki pokost.

Jeśli chodzi o stosunek ludności polskiej do okupantów, to rzuca się w oczy uczucie niepokoju. Nikt nie jest pewny życia i mienia. Może być w danej miejscowości zupełny spokój, może komendant garnizonu uchodzić za "porządnego Austriaka"—cóż z tego! Jeśli w pijackiej bójce zginie jeden Niemiec, to przyjdzie rozkaz, by rozstrzelać piędziesięciu Polaków i ci ludzie zginą. Taka jest, sądząc z wielu egzekucji, cena jednego Niemca!

A jeśli rozlewu krwi nie było, to i tak można dostać się do więzienia. Wystarczy jakaś głupia, bezpodstawna denuncjacja, n.p. że się pluło na portret Hitlera, a już się idzie pod klucz na długie tygodnie, jeśli nie miesiące. Śledztwo nie zawsze toczy się szybko, sądy mają dużo roboty, a skoro życie Polaka w niewielkiej jest cenie, to tym bardziej jego wolność.

A za kratami bicie na porządku dziennym, jedzenia mało i liche. Dba się natomiast o czystość, toteż n.p. dostarczanie świeżej bielizny zazwyczaj jest tolerowane.

Uciec z więzienia? To się może udać (słyszałem raz o ucieczce siedmiu więźniów) ale za to na rozstrzelanie narażeni są towarzysze niedoli z cel sąsiednich, a może nawet z całego skrzydła gmachu.

Poza niebezpieczeństwem rozstrzelania i więzienia jest "miła" perspektywa przymusowych robót w Rzeszy. Idąc ulicą, dobrze jest rozglądać się na wszystkie strony, czy przypadkiem patrole policyjne nie zamykają obu wylotów ulicy, czy nie zaczyna się "łapanka."

Szczególne niebezpieczeństwo groziło zawsze młodzieży. Akurat przed 3 maja, z okazji hitlerowskiego święta prasy (1-y maja) pan Frank ogłosił głupawe pouczenia o potrzebie pracy i zarządził słynną brankę młodzieży. Ponieważ jednak zaraz potem Niemcy wzięli olbrzymie masy jeńców na zachodzie i robotników mieli dużo, więc branka nie była wykonywana w takich rozmiarach, w jakich ją planowano.

Tak więc niepokój—to pierwsze uczucie, jakie się odczuwa na widok okupanta. Z tym się łączy nieufność, zasadnicza, głęboka nieufność do wszystkiego, co okupant głosi i robi.

Ta nieufność, bardzo potrzebna i pożądana, idzie tak daleko, iż czasem . . . wychodzi na niekorzyść Polakom. Są to oczywiście wyjątkowe wypadki. Weźmy n.p. wymianę pieniędzy. Tak rozpowszechnione było mniemanie, iż ta wymiana to jakaś piekielna sztuczka niemiecka, że niektórzy pieniędzy do wymiany w ogóle nie zgłosili. Nic by im to nie zaszkodziło, gdyby wojna skończyła się rychło, jak to powszechnie przypuszczano, ale ponieważ wojna się przedłużyła, więc niejeden odczuł brak tych niewymienionych, a chwilowo bezużytecznych banknotów.

Ludność odnosi się nieufnie nie tylko do władz niemieckich, ale i do pojedynczych Niemców, którzy to czują. Należy stwierdzić, że pojedynczy Niemiec, działając indywidualnie, z własnego popędu, zachowuje się inaczej, niż wtedy, gdy spełnia nakazy swych władz. Władze żądają od niego surowości i wyniosłości w stosunku do "podbitych." Niemcy to "*Herrenvolk*"—więc nie powinni utrzymywać żadnych stosunków towarzyskich z rasą tak marną jak Polacy. Ponadto propaganda niemiecka stale przypomina niemieckim żołnierzom i urzędnikom owych Niemców z Pomorza i Wielkopolski, którzy we wrześniu 1939 r. zginęli z rąk polskich. Każe się Niemcom wierzyć, że to były niewinne baranki, że zginęło ich ni mniej ni więcej tylko 60.000. Z tych wszystkich powodów Niemiec ma się odnosić do Polaków nieufnie, pogardliwie, wrogo.

Na dworcach kolejowych widzi się plakaty z napisem: "*Schweig! der Feind hoert mit.*" (Milcz wróg się przysłuchuje). Zdaje się, że ta obawa przed szpiegostwem była jedną z przyczyn wprowadzenia osobnych wagonów dla Niemców oraz wielu zarządzeń, które mają jak najbardziej odseparować Polaków od Niemców. Nie wolno żołnierzom niemieckim chodzić na polskie nabożeństwa, ani bywać z Polakami w restauracjach.

Z polskiej strony też jest prowadzona agitacja za bojkotowaniem okupantów, za unikaniem nawiązywania z nimi stosunków towarzyskich. W tych warunkach nie może być mowy o wytwarzaniu się jakichś zażyłych stosunków między obu stronami. W szczególności niesłuszne są podejrzenia pod adresem kobiet polskich. Są to co prawda zjawiska dość trudne do uchwycenia, ja zaś osobiście nigdy się tak zw. życiem nocnym nie interesowałem. Sądzę jednak, że stanowisko kobiet polskich jest na ogół zupełnie poprawne a uwłaszczające ich czci pogłoski rozszerzane są przez tych, którzy chcieli by usprawiedliwić własne wybryki tu na emigracji.

Przy zdecydowanie negatywnym stosunku do okupantów nie wszyscy jednak rozumieją co wypada, a co nie wypada. N.p. gdy przyjechał niemiecki cyrk Buscha widzów nie brakowało. Kasyno gry w Warszawie też nie świeci pustkami. Ale na pociechę można sobie powiedzieć, że w każdym społeczeństwie są ludzie nie mający należytego wyczucia, co można robić a czego nie można.

Nastroje ludności nie są jednakowe. N.p. w Warszawie ludność bardziej manifestuje swój stosunek do najeźdźców niż w Krakowie. Polacy przybywający z Wielkopolski również mówili mi że tam "duch jest lepszy," niż w grodzie Kraka. Ale nie należy niczego sądzić według pozorów. Wszędzie, w całej Polsce duch jest znakomity, patriotyzm gorący, gotowość do ofiar bezsporna, i gdyby n.p. we wrześniu 1939 Kraków był broniony, to moim zdaniem, ludność spisała by się nie gorzej, niż w Warszawie. Skoro się to jednak nie stało, skoro ani bomby ani egzekucje nie wyrządziły w Krakowie takich szkód, jak w Warszawie to nic dziwnego, że nie widzi się tam tyle bólu, tyle przygnębienia i rozpaczy co w stolicy, gdzie ruin mnóstwo, a co drugi człowiek opłakuje śmierć kogoś bliskiego.

Nie spotkałem nigdy w prasie niemieckiej przeciwstawiania jednego obszaru drugiemu, przyznawania, że w danym mieście ludność odnosi się gorzej do Niemców, a w innym lepiej. Nie, jeśli czyniono jakieś rozróżnienia to między poszczególnymi klasami ludności. Tak n.p. Frank w sierpniu 1940 odgrażał się inteligencji i klerowi a uznawał rzekomo lojalny stosunek chłopów i robotników do okupanta. Jak jest naprawdę, o tym świadczą trupy tysięcy rozstrzelanych tych właśnie chłopów i robotników, a przyjdzie dzień, w którym okaże się jeszcze lepiej co myśli i czuje "szary człowiek."

Cokolwiek by zresztą twierdziła oficjalna propaganda niemiecka o "zadowoleniu" tego czy innego odłamu ludności, nawet Niemcy nie mogą zaprzeczyć, iż naród marzy o powrocie wojsk polskich. W tym stanie rzeczy mało jest wśród Niemców ochotników do kolonizowania ziem polskich. Niektórzy czują, że z tych ziem trzeba będzie uciekać, inni nje chcą iść na wschód dlatego, że odstrasza ich ciężka praca na zubożałych terenach, wśród wrogiej ludności. W Rzeszy, w bogatych miastach, gdzie pełno kin, dancingów, kabaretów czują się lepiej. Praca na roli ich nie ciągnie. Naród niemiecki staje się co raz bardziej miejski (verstaedted sich)—stwierdzają z niepokojem statystycy niemieccy. Pocieszają się jeszcze Niemcy, że wszystko pójdzie dobrze, gdy się skończy wojna, jak wróci parę milionów żołnierzy, którzy się nie lękają ani pustkowia, ani mokradeł, ani złych dróg. Wtedy to kolonizacja ruszy pełną parą.

Na razie ogromną większość osadników stanowią Niemcy z obszarów zagarniętych przez Rosję. Ci też nie wszystkim się zachwycają, ale bądź co bądź Niemiec co zakosztował stalinowskiego raju wytrzyma rządy Hitlera. Będzie sarkał, lecz przecież przyzna, że mu lepiej, niż w piekle bolszewickim.

Brak ludzi był zapewne jednym z powodów przesiedlania Niemców z województwa lubelskiego do Wielkopolski. Być może, iż działały tu także inne względy, lecz jest rzeczą znamienną, iż jeszcze podczas mego pobytu w Polsce mówiono w Mielcu (woj. krak.), że także tamtejsi Niemcy będą przesiedleni do Rzeszy.

Widzi to wszystko społeczeństwo polskie i tym bardziej utwierdza się w przekonaniu, że cała ta zakłamana i na fałszywych założeniach oparta polityka Trzeciej Rzeszy musi się skończyć wielką katastrofą.

Tak więc społeczeństwo cierpi, ale z wiarą spogląda w przyszłość i na swój sposób walczy z okupantami. Zachodzi pytanie, w jaki sposób możemy mu dopomóc? Nie byłbym starym, zatwardziałym agitatorem (t.zw. "partyjnikiem"), gdybym na zakończenie tego artykułu nie wystąpił z jakąś agitacją. Otóż sądzę— i do tego chcę wszystkich czytelników nakłonić,—że trzeba wyręczyć społeczeństwo polskie przynajmniej w dożywianiu jeńców w Rzeszy i wysiedlonych na Syberii. To nie jest zabronione, to robią sami Anglicy, i to na wielką skalę. A paczki można wypełnić artykułami produkowanymi w W. Brytanii i w ten sposób uniknie się pogarszania jej bilansu płatniczego, z czym też winniśmy się liczyć.

Dotychczas trochę paczek idzie z samej Polski. Rodziny odejmują sobie od ust, formalnie głodują, chodzą w zniszczonej odzieży, byle móc choć tochę posłać tym nieszczęśliwym w rosyjskim Kazakstanie lub niemieckim Mecklenburgu. Czyż nie zarumienimy się ze wstydu? Czyż my tu, w Anglii, nie jesteśmy w położeniu o wiele lepszym? Czyż to nie my powinniśmy wysyłać paczki i to masowo?

Oczywiście mogę usłyszeć w odpowiedzi, że powinienem zacząć od siebie (zgoda!), że nie wszystkim się dobrze powodzi. Pewnie, ale ja też nie żądam od nikogo, by sam głodował, sądzę jednak, że bardzo wielu Polaków mogło by poważnie zasilić Polski Czerwony Krzyż, redukując trochę swoje przyjemności. A choćby nawet raz w tygodniu ograniczyli się do jakiegoś "*Eintopfgericht*"—też by nie było nieszczęścia.

Nie wiem, jak będzie po wojnie, ale być może, że nie według tego będziemy sądzeni, cośmy tu mówili, jakeśmy się wrogom odgrażali, lecz według tego, cośmy realnie dla Polski zrobili.

Stanisław Zatorski

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "I. jak się po niej podróżuje," druk. w nr. 5, "II. Co się widzi z okna pociągu i na ulicy," druk. w nr. 7, "III. Co myśli i czuje społeczeństwo pod okupacją," druk. w nr. 8 i "IV. Warunki zarobkowe i aprowizacyjne" druk. w nr. 9 "Polski Walczącej."

Dwie różne sprawy

W prasie naszej toczy się obecnie interesująca dyskusja, która byłaby może nawet owocna, gdyby nie pomieszano w niej dwuch zupełnie różnych spraw, a argumentów z jednej nie przerzucano do drugiej.

Pierwsza sprawa to stan myśli naszej emigracji.

Przyrównuje się nas do roku 1831 i ubolewa na brak myśli czy twórczości na miarę Mickiewicza, Słowackiego czy Czartoryskiego. O ile dopingowanie myśli emigracyjnej jest rzeczą celową i zdrową, jak również piętnowanie tych rygorów natury administracyjnej, które mogą tej myśli zaszkodzić—o tyle porównanie i "zawstydzanie" nas niejako rokiem 1831 i osobami wieszczów jest wysoce niesłuszne i fałszywe.

1. Emigracja każda pochodzi z narodu, a więc jest niejako jego "próbką"; chwaląc ją czy obwiniając trzeba się cofnąć daleko wstecz i przypatrzyć się dokładnie danemu okresowi kultury narodu. "Próbki" są gorsze i lepsze; my jesteśmy tą gorszą—najlepsi z naszych naukowców, pisarzy, malarzy, polityków zostali *Tam*, albo zginęli czy zostali zamordowani. Inaczej było wtedy, gdyż Wielka Emigracja to właśnie wychodźstwo narodowych luminarzy.

2. Wojna szczególnie tak dotkliwa dla "tyłów" jak obecna, nie sprzyja rozwojowi myśli. Wszystkie wielkie ideje powstawały w czasach pokoju, w ciszy muzealnych bibliotek, w kombinacjach myślowych ludzi bardzo od życia oderwanych. Wojny ułatwiały często tylko ich urzeczywistnienie. *Dziś trudno szukać ciszy muzealnych bibliotek, jeśli się nie chce narazić na zarzut — tchórza. Wojna trwa.* Wielka Emigracja żyła w pokoju. Ten punkt podkreślił słusznie Kiełpiński.

3. Na ocenianie tej emigracji nie mamy żadnej perspektywy, trwa ona dopiero półtora roku czasu wojny.

4. Myśl nasza jest o tyle uboższa—w danej chwili—od myśli naszych gospodarzy, o ile stan faktyczny naszego narodu w chwili obecnej, jest różny od stanu ich narodu.

5. Nie ma racji Kiełpiński pisząc, że na szczęście nie mamy Mickiewicza, czy Czartoryskiego. Na nieszczęście nie mamy, myśmy na emigrację z takim kapitałem nie wyszli. Gdyby jednak byli tu, a wiek ich i zdolności fizyczne były odpowiednie, miejsce ich było by—w wojsku. Mickiewicz całe życie cierpiał cichy dramat, że nie brał bezpośredniego udziału w powstaniu.

Może się komu zdawać, że opinia ta wychodzi z pod pióra "nienawistnika kultury," wroga intelektualistów—nie mniej jestem zdania, że *żadne zdolności czy talenty, żadne "królewiczostwo" ducha, żaden myśli elitaryzm nie może uwolnić ich posiadacza od szarego wypełniania wszystkich społecznych obowiązków, a takim jest teraz: Tam—praca niepodległościowa, tu—służba wojskowa. Dopóki trębacze nie dadzą hasła: zaprzestać ognia—walor słowa pisanego czy mówionego jest niższy, niż walor armaty. Tym wyższa będzie wartość naszych twórców — im więcej rzeczy stworzą, będąc w wojsku.*

W normalnym trybie życia narodów słowa mają wartość czynów (ewentualnie w trybie tak dalece nienormalnym w jakim była Polska XIX wieku).

Są jednak czasy—teraz właśnie—że znaczenie pierwszorzędne ma nie słowo ale czyn, ale postawa. Jeśli już nawet nie społeczne znaczenie, to wewnętrzne, dla jednostki. Każdy tak sobie buduje swą przyszłość, by o nim mogli kiedyś rzec:—to był uczciwy i porządny człowiek. Dlatego sądzę, że kandydaci na wieszczów wolą dziś blokhaus czy pokład, niż bibliotekę, karabin niż pióro. Oczywiście tu, Tam maszyna do pisania może aktualnie równoważyć karabin maszynowy.*

Przez to wszystko nie chcę odsuwać, odmawiać emigracji od myślenia i rzutowania przyszłościowego. Przeciwnie — dawałem temu wyraz kilkakrotnie ("Odwet," "Wiadomości"). Tylko to wszystko musi mieć na uwadze, że jest wojna i winno się dziać w ramach wojny i wojska. Bo bez względu na to *co byśmy napisali:—wojna trwa!—i bez względu na to jaką by w niej rolę odgrywały czynniki ideowe—zadecyduje samolot i czołg i sprawność obsługującego je kierowcy.*

Teraz sprawa druga.

Żołnierz polski ma w czasie pauz w działaniach sił lądowych dużo wolnego czasu. Jest to żołnierz inteligentny, na ogół łaknący t.zw. wiedzy i kultury. Zaborca prowadzi konsekwentną politykę, dążącą do zupełnego zniszczenia naszej kultury—marnowanie pod tym względem tutejszego żołnierza było by zbrodnią wobec narodu. Jeszcze do dnia dzisiejszego praca oświatowa w wojsku nie stoi na należytym poziomie. Kształcenie i przystępne podawanie wiedzy żołnierzowi powinno wypełnić szczelnie te godziny wolne, których jest wiele, a które—bądźmy szczerzy—zaledwie garstka wyzyskuje z pożytkiem. Należyte ich kulturalno-oświatowe wyzyskanie jest sprawą palącą (i tak stoi przed nami drugie pokolenie niedouków) i łączy się z poruszanym w "Polsce Walczącej" problemem "Zbrojnego bezrobocia."

Praca oświatowa winna tworzyć z pracą militarną organiczną całość. Wydaje mi się jednak, że jak ćwiczenia wojskowe prowadzą fachowcy-oficerowie, tak i w pracy oświatowej winien być postulat fachowości respektowany i prowadzenie jej powinno być powierzone czy to "ludziom kultury" będącym w mundurze, czy też nawet cywilom (jako wykładowcom czy nauczycielom języka). Sprawa pilna, bo nie stać nas na luksus intelektualnego marnowania kilkudzięciu tysięcy ludzi.

To jest sprawa druga od pierwszej całkiem różna. Pomieszanie ich nastąpiło prawdopodobnie w wyniku dążności nurtujacej od pewnego czasu naszą publicystykę—dążności upraszczania i brania zagadnień "z grubsza."

Wiktor Winiarski

* Określenia tego odmówił w którejś swojej "Ryżowej szczotce" w "Prosto z Mostu" p. Karol Zbyszewski Proustowi, za to, że w czasie bombardowania Paryża pracował nad swym "Czasem utraconym."

Przeciw demagogii

W nr. 9 "Wiadomości Polskich" ukazał się artykuł p. Ksawerego Pruszyńskiego p.t.: "Cmokiewicz i Mickiewicz," usiłujący polemizować z artykułem Tadeusza Kiełpińskiego: "Nie emigracja—lecz wojna" (druk. w "Polsce Walczącej" nr. 5).

Sposobów polemicznych p. Pruszyńkiego nie podejmujemy się tu oceniać, ani naśladować. Uważamy jednak za potrzebne przypomnieć z zaczepionego artykułu jedno zdanie, które polemiście i demagogowi wygodniej było uznać za nienapisane:

"*Chcemy uchylić wszelką demagogię. To, co się tu mówi nie jest wymierzone przeciw kulturze, przeciw pracy oświatowej, ale żąda stawiania wszystkiego na właściwym miejscu.*"

ZE "SKRZYNKI POCZTOWEJ"

"Bardzo jestem i Panu i autorowi wdzięczny za "Nie emigracja lecz wojna." A to dlatego, że emigracji jest mało—wojska dużo, za to mowy o emigracji co niemiara. A mnie jak kto chce dobić, to niech mi powie, że jestem emigrant."

Jerzy Lipka (RAF)

ABISYNIA

Teren

Druga wojna światowa, zataczając co raz to szersze kręgi objęła niedawno również odwieczne cesarstwo Etiopii, od pięciu lat najnowszą kolonię włoską. Nie od rzeczy więc będzie sięgnąć do wspomnień z tego odległego, mało znanego, a tak ciekawego kraju.

Oddziały brytyjskie wkroczyły jednocześnie do Erytrei, do Etiopii (w rejonie jeziora Tana) i z południa do włoskiej Somalii. Działania główne rozwijają się w Erytrei i zapewne wkrótce zostaną przerzucone do północnej Etiopii. Te więc części wielkiego, trzy razy większego od Polski obszaru abisyńskiego są obecnie najciekawsze.

Stara włoska kolonia Erytrea, która w czasie kampanii włosko-abisyńskiej posłużyła za podstawę wyjściową armii Marszałka Badoglio stanowi pod względem geograficznym i etnograficznym część Abisynii. Nie różni się od niej, ani ukształtowaniem terenu, ani klimatem, ani też szczepami zamieszkującymi poszczególne jej części.

Pod względem terenowym możemy podzielić Erytreę i północną Abisynię na trzy pasy idące z północy na południe: wschodni nizinny, środkowy górzysty i rozszerzający się ku południu i zachodni niski, będący przejściem od gór Abisynii do niziny Sudanu.

Pas wschodni, stanowiący piaszczystą i kamienistą nizinę, o bardzo małej lub nawet miejscami żadnej roślinności i słabo zaludniony i posiada klimat bardzo przykry dla Europejczyka. Podczas wojny 1935—1936 najwyższa temperatura w tym pasie wyniosła 68°. Noce są też bardzo gorące, co utrudnia odpoczynek po marszu czy też pracy.

W Erytrei jedynym ważnym punktem wybrzeża jest Massaua—jedyny też port tej kolonii, połączony linią kolejową ze stolicą Asmarą i dalej z miejscowościami Cheren, Agordat i Biscia. Wąski nadmorski pas biegnący wzdłuż Czerwonego Morza aż do Somalii francuskiej jest to prawie nie zaludniona pustynia Dankalijska. Znam ją o tyle tylko, że przeleciałem nad nią raz samolotem. Z góry robi wrażenie silnie pofalowanej, prawie czarnej powierzchni morskiej. Są to drobne skaliste pagórki. W jednym miejscu tam, gdzie nizina stanowi wgłębienie o sto z górą metrów niższe od powierzchni morza, widać wyraźnie białe plamy soli występujące na brunatnym tle piasku. Jest to tak zwana "Dolina śmierci."

W południowym końcu pasa nadmorskiego, już niedaleko cieśniny Bab el Mandeb, znajduje się mała wioska arabska Assab, w której Włosi urządzili bazę lotniczą, ufortyfikowaną od strony morza, a mającą szachować umocnioną angielską wyspę Perim oraz linię komunikacyjną do Indii.

W pasie wschodnim, ze względu na klimat, bezludność i bezdrożność—wszelkie działania wojenne są oczywiście bardzo trudne.

Pas zachodni, wzdłuż granicy Sudanu, stanowi lekko pochyloną ku zachodowi równinę, na której wyrastają pojedyncze lub też stojące łańcuchami, stożkowate pagórki. Kraj słabo zaludniony, lecz łatwy do przebycia, gdyż jego pokrycie nie stanowi większych przeszkód. Jest to typowy afrykański *bush*, coś pośredniego między lasem, a stepem. Wysoka, w porze suchej rzadką i uschnięta trawa, tu i ówdzie porozrzucane akacje, rzadziej jeszcze wielkie baobaby. W dolinach palmy dum. Temperatura prawie tak wysoka jak w pasie wschodnim ale łatwiejsza do zniesienia bo wilgoci nie ma, a upał wilgotny jest o wiele bardziej przykry i męczący od suchego.

Największe znaczenie ma górzysty pas środkowy. W nim rozegrały się działania wojny włosko—abisyńskiej, w nim również zdecydują się pewnie obecnie losy państwa Lwa Judy. Tu leży stolica Erytrei—Asmara i większe masta północnej Abisynii: Adna, Axum, Macalle.

Pierwsze wrażenie jakie na mnie zrobił było bardzo nieprzyjemne: jakiś wprost księżycowy krajobraz. Rzeźba terenu niesłychanie zagmatwana, kręte doliny wijące się w różnych kierunkach, głębokie wąwozy.

Teren Abisynii musiał przejść kiedyś jakiś bardzo wielki kataklizm geologiczny, którego śladami są połamane części dawnego płaskowyżu—*amby*, czyli góry zakończone sporymi płaszczyznami, inne przemienione w ostre stożki przez działanie wód, wreszcie zalegające wszystkie doliny zwaliska kamieni, których wielkość waha się od rozmiarów pięści do kilkudziesięciu metrów sześciennych. Niektóre góry mają nie stoki, lecz całkiem pionowe ściany uniemożliwiające przejście na kilkunastokilometrowych odcinkach.

Najwyższy punkt pasa środkowego Ras Dascian, wznosi się na cztery tysiące kilkaset metrów, przeciętna wysokość terenu około 2.000 metrów. Różnice poziomów są bardzo znaczne, tak np. na drodze od granicy Erytrei (rzeki Mahreb) do Aduy, na przestrzeni 60 km., wysokość waha się od 1.000 m. do 2.200 metrów. Asmara leży na wysokości 2.200 m., Cheren około 1.000 m., Amba Aradam na południe od miasta Macalle, u której stóp i na której została stoczona bodajże największa bitwa kampanii 1935—1936 r. ma 3.000 m. wysokości i stanowi płytę o płaskim wierzchu 7 kilometrowej długości, a stoki jej są to prawie pionowe ściany.

Przy silnym działaniu słońca rozrzedzenie powietrza jest o wiele większe, niż na takiej samej wysokości w Europie. Rezultaty tego odczuwa się bardzo silnie. Jest rzeczą niemożliwą maszerować z większą szybkością jak 3 km. na godzinę (tubylcy tego nie odczuwają i robią swobodnie 6—7 km.), biec jest bardzo trudno, bo od razu brak tchu i tp. . . .

W górach wielkich upałów nie ma. Temperatura w dzień rzadko przekracza 40°, w nocy natomiast panuje dotkliwy chłód 4°-5°. Stwarza to konieczność posiadania ciepłych koców, ale pozwala na dobry odpoczynek.

Od wysokości 3.000 m. jest naga skała, poniżej glina i kamień. Glina jest w bardzo wielu miejscach barwy czerwonej i daje drobny, bardzo przykry kurz przechodzący przez ubranie i bieliznę.

Roślinność biedna. Stoki gór i doliny, często rozległe pokryte rzadką, w zimie całkiem wyschniętą trawą, oraz parasolowymi akacjami. Są to niewielkie drzewka o długich ostrych kolcach i rozłożystej koronie, od której pochodzi ich nazwa. Nigdzie nie stanowią lasów, ale rosną w odległości kilku do kilkudziesięciu metrów jedno od drugiego. Stanowią one wraz z licznymi zwaliskami skalnymi, doskonałe ukrycie od rozpoznania lotniczego. Pod parasolem każdej akacji może paru ludzi bezpiecznie siedzieć, nikt ich z powietrza nie dojrzy.

Poza tym spotykamy agawy i rozmaite inne odmiany kaktusów, z których jedna—euforbia kandelabrowa wygląda bardzo malowniczo. Przypomina wysoki na kilka metrów wysokości, wieloramienny świecznik o ramionach równolegle wznoszących się ku górze. W dolinach rzek rosną eukaliptusy i drzewa figowe.

Sieć dróg, poza nielicznymi doskonałymi szosami wybudowanymi przez Włochów ogromnym nakładem pracy, przedstawia się fatalnie. Na mapach są to piękne czerwone linie, w rzeczywistości ścieżki górskie, biegnące zawsze zboczami gór, a więc mające z jednej strony mniej lub więcej pochyłą ścianę; ku górze z drugiej zaś przepaść, albo przynajmniej bardzo stromy stok. Szerokość ich nie przekracza minimum koniecznego, żeby po ścieżce mógł iść muł lub osioł. Tubylczych dróg kołowych nie ma, bo ludność żadnych wozów nie używa. Każda ścieżka musi biec stokiem góry, a nie dołem doliny, gdyż w porze deszczów doliny zmieniają się w rwące potoki.

Pora sucha trwa mniej więcej od końca września do końca maja. Rzeki wówczas są całkowicie, albo prawie całkowicie suche, i żadnych przeszkód nie stanowią (poza rzeką Takazze, która się w dalszym swoim biegu nazywa Setit). Podczas reszty roku padają ulewne deszcze, doliny są zalane, rzeki wezbrane i ruch poza drogami prawie niemożliwy dla wszystkich, a całkiem niemożliwy dla europejskiego wojska.

Z zagadnieniem pokrycia terenu łączy się kwestia zabudowań, ale zważywszy, że łączy się ona również z zaludnieniem, przedstawię obie łącznie w następnym numerze "Polski Walczącej."

Władysław Dziewanowski

B.P. KPR PCHOR STANISŁAW PIKMAN ODZNACZONY ORDEREM WOJSKOWYM "VIRTUTI MILITARI" POLEGŁ NA POLU CHWAŁY W NORWEGII W WIEKU LAT 32.

Po długich miesiącach rozłąki i niepewności o Jego los suche pismo urzędowe zawiadomiło mnie o bohaterskiej śmierci mego najlepszego przyjaciela.

Jest on jednym z wielu, którzy jedynie spełnili swój obowiązek wobec Polski i przypieczętowali krwią serdeczną swe przywiązanie do Ziemi Ojczystej.

Życie miał krótkie, lecz bogate!—Gdy wybuchła wojna znalazł się na posterunku, by bronić granic zagrożonej Ojczyzny. Potym musiał wędrować tak jak wszyscy, co broń chcieli jeszcze schwycić w swe dłonie i zmierzyć się z wrogiem powtórnie.

Pałał zemstą przygotowując się do powtórnej walki w Szkole Podchorążych we Francji. Był tam jednym z pierwszych, bo już w listopadzie 1939 roku.

Jak bardzo kochał Polskę, jak bardzo tęsknił za nią i za tymi, co tam pozostali, o tym świadczą jego krótkie, lecz jakże pełne uczucia listy. Oto wyjątek z ostatniego z nich.

". . . Przestałem się już dziwić rozmaitym zjawiskom w moim życiu. Jedyna rzecz, o której nie przestaję myśleć—to mój Kraj i rodzina. Zostawiłem jak wielu innych matkę staruszkę, żonę, synka i siostry . . . Już mi wszystko jedno, co jest i co będzie ze mną, ale dziś stale myślę, co oni tam w Warszawie robią. Czy mają co jeść? Czy mają węgiel? I czy te wszystkie inne okropności przetrzymają? . . ."

Jak walczył i jak umierał—o tym wspominają kroniki Brygady Podhalańskiej i o tym świadczy jeszcze wymowniej przyznany mu pośmiertnie Order Wojskowy "Virtuti Militari." *Jakub Brodt*

Szkic sytuacyjny

ZACZYNA SIĘ

Gdyby się chciało streścić sytuację na przełomie lutego i marca, można ją było określić jednym słowem: zawieszenie.

Zawieszenie ustało już na Bałkanach, ale zawieszenie znamionuje akcję lotniczą Rzeszy nad Anglią, zawieszenie cechuje jeszcze—Daleki Wschód.

Każdy jednak, kto wyczuwa co się odbywa za kulisami, kto śledzi słowa wypowiadane przez Berlin i Tokio i kto obserwuje przygotowania czynione tu i tam—dochodzi do wniosku, że gotuje się olbrzymia rozprawa, której granice, rozmiar i rozmach nie są do przewidzenia. Nie wiemy, gdzie się ona zacznie, jak się potoczy i jakie przyniesie niespodzianki. To pewne, że *nie będzie to zawierucha małego rodzaju.*

Marsz przez Bułgarię ku granicy greckiej jest jej początkiem.

PODOBIEŃSTWA Z ROKIEM 1940

Istnieją niewątpliwe zbieżności między r. 1940 a r. 1941. Po uderzeniu na Polskę nastała przerwa, która ożywiła się z najazdem na Norwegię. Po kampanii norweskiej, ocenianej przez realistów jako wstęp do groźnej akcji na Zachodzie—przyszło pchnięcie we Francję.

Ofensywa niemiecka na Anglię zakończyła się z początkiem grudnia ub.r. Niemcy doszli do przekonania, że *uderzenie wyłącznie lotnicze na Anglię nie rozwiązuje zagadnienia.* Miesiące zimowe poświęcili przygotowaniom morskim: potężnej flotylli łodzi podwodnych.

Od trzech miesięcy niemal mamy w Anglii ciszę. Naloty odbywają się, niektóre ostre, jak trzykrotny napad na Swansea, ale nie są to ofensywy powietrzne, do których Rzesza zdołała nas już przyzwyczaić. Podobnie wczesna wiosna 1940 r. były okresem względnego spokoju.

Kiedy przyjdzie "Norwegia" r. 1941? I kto spełni rolę Norwegii?

FINLANDIA—GRECJA

Analogie można by posunąć dalej. Finlandia zaatakowana przez armię sowiecką zdumiała świat swoim wspaniałym oporem. I gdy zdawało się, że stoi u szczytu swoich powodzeń, zmuszona została do zawarcia pokoju: pokój ten doradziła Finlandii Rzesza, doradziła, oczywiście sposobami presji. Finlandia, skrwawiona, wyczerpana, z lukami w sprzęcie wojennym i zaopatrzeniu, podpisała pokój.

Grecja stawiła naprawdę bohaterski opór armii włoskiej. Wykazała nie tylko heroizm, ale i rozwagę, talenty militarne; *pokazała co znaczy rozumne planowanie kampanii, dobra robota sztabowa.*

I dzisiaj, gdy Grecja wypiera Włochów z Albanii, korzystając w nieznacznym tylko stopniu z pomocy obcej, gdy wojska greckie stoją niedaleko od Walony—lawina niemiecka przetacza się przez Bułgarię. Berlin może nakazać Grecji zawarcie pokoju z Włochami, wycofanie się z Albanii. Mussolini w swej mowie nie krył się, że kampanię za niego poprowadzą—Niemcy.

NORWEGIA—TURCJA

Czy po próbie steroryzowania Grecji—która napewno będzie starała się obronić i nie skapituluje łatwo przed presją niemiecką—nie przyjdzie atak na Turcję? Czy Turcja nie odegra roli Norwegii? (porównanie to dotyczy oczywiście tylko porządku faktów; wiadomo każdemu dobrze, że Turcja jest państwem militarnym dobrej klasy, podczas gdy Norwegia jako czynnik wojskowy liczyła się w nieznacznym stopniu, wiadomo także, że Turcja jest w przymierzu z Anglią, podczas gdy Norwegia nie była itd).

Turcja trzyma dzisiaj niewątpliwie klucz sytuacji. Od jej stanowiska, od jej oporu zależy ogromnie wiele. Miejmy nadzieję, że Turcja nie pozwoli się otoczyć i że nie będzie patrzeć biernie na wkroczenie Niemców do Grecji. Tego rodzaju akcja osaczałaby Trację turecką, stanowiłaby poważne zagrożenie Stambułu. Losy Turcji związane są z losami Grecji w równej mierze jak los Polski związany był z Czechosłowacją.

BAZY NIEMIECKIE

Niemcy mają poważne pogotowie w Rumunii. Niemiecka armia ekspedycyjna liczy tam obecnie z milion żołnierza. Niemieckie U-Booty wędrują na barkach Dunajem do Constanzy i tam będą montowane (potem wyjdą na Morze Czarne i podsuną się pod Bosfor). Niemieckie lotniska mnożą się w Rumunii, mnożą się w Bułgarii.

To wszystko dowodzi, że Niemcy nie myślą tylko o zastraszeniu Grecji, ale że planują wielką akcję. Istotnie, gotują się oni *do skoku na Morze Śródziemne, na awanturę jakiej nie podjęły Niemcy w wojnie światowej.* Wprawdzie byli i wtedy nad Bosforem, ale nie grozili Bizercie, nie zjawili się na Sycylii, nie siedzieli w Libii.

STARCIE NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Włochy wypadają z wojny. Hitler przejmuje Imperium włoskie i rdzenne Włochy z dobrodziejstwem inwentarza. Bierze w swoje ręce nawet flotę włoską. Wojna zatem w basenie Morza Śródziemnego zamienia się w *historycznej doniosłości starcie anglo-niemieckie.*

Jest to nowa perspektywa wojny.

U-BOOTY NA WIOSNĘ

Poważna opinia angielska liczy się z tym, że niemieckie uderzenie na wiosnę będzie to przede wszystkim uderzenie podwodne, posiłkowane wypadami bombowców takich jak *FWKurier*, maszyny szybkiej, zabierającej spory ładunek (zbliżona bodaj najbardziej do amerykańskich "latających fortec").

Po monachijskiej mowie Hitlera niektórzy publicyści angielscy uderzyli na alarm: uważają oni, że Rzesza ma do rzucenia w walkę 200 jednostek podwodnych, że 600 jednostek robi się w stoczniach i że produkuje ona 4 czy 5 razy szybciej, aniżeli Kaizer. To czego jej brakuje to odpowiednio przeszkolonych załóg.

Wydaje się, że w tych alarmach jest pewna doza racji. Rzesza ma dzisiaj doki Holandii, Norwegii, Danii, Francji, produkcja U-Bootów nosi cechy masowe (jeszcze przed wojną Rzesza fabrykowała duplikaty łodzi). W tych warunkach oczekiwać *należy z wiosną ataku na żeglugę brytyjską na poważną skalę.*

Rzesza wie, że Anglii nie ugryzie z powietrza, ale że *szlaki morskie W. Brytanii to są jej najbardziej żywotne arterie.*

Anglia wie, co to znaczy. Orientuje się także, że chwilowy zastój w operacjach podwodnych jest groźną ciszą przed burzą. Rzesza będzie stosować zasadę *koncentracji ataku,* która to metoda okazała się tak skuteczna w tej wojnie.

AFRYKA—ZNAK ZAPYTANIA

Armia gen. Wavella przepadła po prostu w piaskach pod Benghazi. Czy wynurzy się nagle pod Tripolisem, czy też raczej—pod Salonikami? Nie wiemy. To pewne, że Libia nie jest dzisiaj tak czynna, jak inne tereny walki: Erytrea, Somali włoskie, Abisynia. Tam oddziały brytyjskie—w Abisynii także siły powstańcze—wygryzają Włochów z Afryki.

Wojna afrykańska przeszła ze stadium błyskawicznego w stadium długiej, *typowo kolonialnej kampanii. W tych warunkach operacje zanoszą się na miesiące.*

CZARNA WIOSNA

Wiosna przyniesie wypadki groźne, walki zawzięte, rozpalenie się wojny na nowych frontach. Przetargi daleko-wschodnie nie mogą trwać wiecznie: *gdzieś puści wątła nić*—albo w Siamie, albo na wodach Pacyfiku, albo w Hongkongu. Japonia wykłada karty co raz wyraźniej i woła: Azja dla Azjatów, Oceania dla Japonii. "Uspokajanie" w stosunku do Japonii nie uda się. Bo dzisiaj widzimy, że jest to bezcelowe. Rzesza, Włochy, Japonia, sprzęgły swoje losy, grają *va banque.*

Wojna na Dalekim Wschodzie *nie będzie łatwa dla Japonii.* Przeoczyła ona moment najbardziej korzystny: po zawaleniu się Francji, kiedy można było wcale łatwo położyć łapę na Indiach Holenderskich. Dzisiaj czujność wszystkich partnerów białych na Dalekim Wschodzie jest obudzona.

Czeka nas wiosna ciężka, prawdziwie czarna wiosna. Wytrzymać ją, wytrzymać lato, wytrzymać i odparowywać aż do jesieni, kiedy powstanie zdecydowany luz i kiedy szala musi się przechylić—oto zadanie najbliższych miesięcy. *Jest to zadanie skromne, ale wielkie przez tę właśnie skromność.*

Zbigniew Grabowski

MUNDUR OKRYTY TOGĄ

"Nigdy i nigdzie, odkąd żołnierz polski walczy na obczyźnie, nie spotkał się on z tak głębokim zrozumieniem jego zadań i potrzeb, z tak głęboką i żywiołową, a wzajemną sympatią co tu.

Tutaj zostały zawiązane, a raczej odnowione, węzły przyjaźni, umacniane stale nowym braterstwem broni, dokonywującym się we wspólnych walkach na lądzie, morzu i w powietrzu, które rozstrzygną w przyszłości o ściślejszym związku, jaki złączy Wielką Brytanię z Polską i na odwrót.

Dzisiejsza promocja jest nowym aktem tej właśnie przyjaźni. Bo wszak promocja ta ma adres wyraźny. Przyjmuję ją nie jako uznanie dla mojej osoby, ale jako hołd złożony mojemu bohaterskiemu narodowi, który ponosząc krwawe ofiary trwa w nieugiętym oporze, w każdym przejawie swego codziennego życia. Przyjmuję ją jako uznanie dla Armii Polskiej, która biła się dzielnie nie tylko wtedy, gdy broniła swojej ziemi, ale i w Narviku, pod Metzem, Belfortem w Bretanii i nad Marną, a przezwyciężając największe trudności dotarła do brzegów tych wysp, by razem z Wami kontynuować swą bezkompromisową walkę z największym złem, jakie kiedykolwiek groziło ludzkości.

Cena, jaką w tej wojnie zapłaciliśmy jest bezmierna. Ale trwamy i wytrwamy w naszym postanowieniu złożenia każdej ofiary, jakiej Opatrzność od nas zażąda dla przywrócenia Polsce Jej wielkości. A walka, którą prowadzimy obecnie pospołu z Wami jest nie tylko walką o prawo do niepodległego bytu Polaków, ale zarazem i o prawo świata chrześcijańskiego i cywilizowanego. Chcieliście to stwierdzić publicznie. I to jest właściwe znaczenie dzisiejszej, jakżeż dla mnie zaszczytnej, uroczystości."

Z przemówienia generała Władysława Sikorskiego na promocji honorowej w Uniwersytecie St. Andrews



Ruiny katedry

Gdy przed murami starego Uniwersytetu w Saint Andrews rozległ się marsz wojenny i krokiem polskim kompanii honorowej I Brygady Strzelców dźwięczały szyby Parliament Hallu. . . .

Gdy przebrzmiały dźwięki hymnów Polski i Wielkiej Brytanii na zatłoczonej uliczce odwiecznego szkockiego miasteczka. . . .

Gdy szaro-zielony strumień nieco zażenowanego oficerstwa wpłynął na salę Wyższej Uczelni, po drugiej stronie szkarłatnie uczyniło się od studentów i studentek, w średniowieczne togi ubranych. . . .

Gdy po świetnie odśpiewanej pieśni *Gaude Mater Polonia* (w tłom. "Ciesz się Matko Polsko") rozpoczęła się właściwa uroczystość: modlitwa łacińska, sprawozdanie *Senatus Academici*, przedstawienie generała Sikorskiego do tytułu Doktora Praw *Honoris Causa* przez Dziekana Wydziału. . . .

Gdy dokonano obrzędu nadania tytułu, wicekanclerz, czyli rektor Uniwersytetu rozpoczął swe mądre, serdeczne dla nas, przepojone tkliwością dla Polski przemówienie. . . .

. . . wtedy spojrzałem na solenizanta uroczystości jeszcze raz.

Był w czerwonej jak krew todze, u szyi wiązanej śnieżną szarfą. Postawny i po polsku godny. Słowiańskie oczy. Zrozumiałem, dlaczego podoba się publice szkockiej: dobrze przedstawia typ nasz. Reprezentuje naród, dla którego jest tu szacunek. Dowodzi wojskiem, które zjednało sobie miłość ludności. Przychylnie, już ze skłonnością jak najbardziej życzliwą, oczekiwano na to, co powie w swej mowie doktorskiej. W tych barwach uniwersyteckich-jednocześnie polskich nasunął mojej wyobrąźni skojarzenia szybkie, przelotne. Krótko tylko powiem: pomyślałem, że tu na tragicznej i jednocześnie wygodnej obczyźnie—żyjemy właściwie po rzymsku. Jest w nas materiał na bohaterów. Bóg da—nie pozwolimy na zmarnowanie się w małych sprawach i w wielkim komforcie. Duchem żyjemy więcej, niż ciałem. Mundur okryty czerwoną togą patetyczną i uczoną właściwie nas wyraża. Jesteśmy wojskiem myślącym. Tak właśnie trzeba.

To wszystko—w związku z togami.

* • *

Wicekanclerz Uniwersytetu, Sir James Colquhoun Irvine, zajmował miejsce centralne—na rektorskim stolcu. Był w todze czarnej ze srebrem. Ma głowę kształtną i ciemne, panujące nad zebranymi oczy, w których zapalały się często iskry serdecznej myśli. Pragnąłbym narysować Czytelnikom niektóre fragmenty uroczystości, dlatego przypominam sobie ten obraz raz jeszcze.

Poniżej, obok generała siedział przedstawiciel króla, Earl of Elgin. Nie pamiętam, w jakiej todze. Ale wśród innych—były togi fioletowe duchowieństwa i czarna z gronostajem lorda-provosta St. Andrews. W grupie senackiej widziałem profesorów o głowach ascetycznych i o postaciach zażywnych i o twarzach, myślą intensywną pooranych.

Uwaga wszystkich skupiona była na nowym doktorze. Dla ludzi tych z pewnością nie było obojętne,komu powierzają godność. Zbadali jego przeszłość pracowitą i zasłużoną, uznali go za dobrego wyraziciela i właściwy symbol Narodu, który uległ fizycznie, lecz nie poddał się w duchu i myśli. Przyjęli go już do swego grona i do długiego pocztu doktorów Uniwersytetu. Teraz patrzyli na niego, tak jak uczony patrzy na żołnierza . . . tak, powiedzmy, jak oficer zawodowy patrzy na oficera rezerwy, gdy ten po raz pierwszy dowodzi. Nie spodziewali się może jasnego i zwięzłego popisu myśli prawniczej, a może tym bardziej wartości retorycznej, tak bardzo cenionej w świecie tradycyjnie klasycznym uczelni, nieprzerwanie istniejącej od 1411 roku.

Tymczasem przemówienie doktorskie odznaczonego Polaka było pod każdym względem odpowiednie. Poruszało temat prawniczy, stosownie do otrzymanego tytułu doktora praw. W związku z okolicznościami i chwilą przeżywaną było doskonałą odpowiedzią na temat jakby zadany przez Senat. Przecież przed chwilą właśnie słyszeliśmy sekretarza Senatu, gdy czytał:

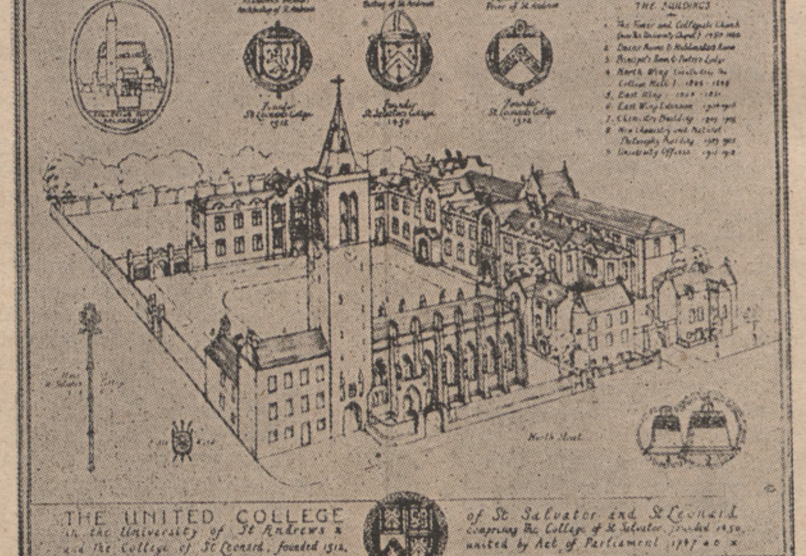
"*Senatus Academicus*, pomimo tych posępnych dni, uważa za właściwe, ze względu na przeżywaną godzinę i na osobę, nadać ten stopień doktora *honoris causa*. Generał Sikorski, Premier Polski, Minister Wojny i Naczelny Wódz Armii Polskiej, połączył w sobie wartości bierne i czynne: ciągłości studiów i nieprzerwanej pracy dla pomyślności swej ojczyzny. . . ."

"*Senatus Academicus*, zawsze pieczołowity dla spraw ducha, pragnie oddać hołd temu człowiekowi, tak niezwykle obdarzonemu i tak niezwykle łączącemu wartości i ofiarowuje mu ten stopień jako znak zasługi, dowód naszej przyjaźni dla niego i jego współziomków i jako symbol nadziei dla jego ojczyzny i naszej wspólnej sprawy."

* • *

—"Tylko ci, którzy są zupełnie pozbawieni wyobraźni—a braku wyobraźni nie możnaby zarzucić ani Polakowi ani Szkotowi—nie ulegliby głębokiemu wzruszeniu podczas tej uroczystości, w której łączą się nasze serca—mówił rektor uczelni.—Tu stojąc, w miejscu, którego wolność nauki zaczęła promieniować na Szkocję, otoczony towarzyszami broni oraz nowymi i starymi przyjaciółmi, Naczelny Wódz Armii Polskiej otrzymał nasze akademickie pasowanie. Uhonorowaliśmy go, lecz jeszcze większy zaszczyt jest nasz, gdyż udzielając mu zaszczytu, Macierz uniwersytetów szkockich złożyła hołd swój u stóp cierpiącego narodu polskiego. . . .

" . . . Słowa moje—jak w ogóle słowa—będą zapomniane, lecz mam gorącą nadzieję, że czyny



nasze dzisiejsze będą długo pamiętane. Gdy ucichnie wrzawa wojenna, gdy ludzie raz jeszcze powrócą do odbudowy pewniejszych podstaw cywilizacji . . . niechaj przyjaźń Brytanii i Polski stanie się punktem wyjścia nowego braterstwa narodów. . . .

" . . . Niejedno serce wśród zgromadzonych tu przebite jest niepokojem i bólem w związku z losem ukochanych, którzy pozostali w pustoszonym kraju; nasze szkockie serca odpowiadają im uczuciem i zrozumieniem. . . .

" . . . Pan, Generale, i pańscy towarzysze broni każdego dnia dodajecie wartości polskiemu narodowi i my Szkoci, którzy patrzymy na to, podziwiamy waszą pracę. . . .

" . . . Jest to okazja do złożenia podzięki, gdyż winniśmy wam wiele—Wam samym i Waszym współobywatelom . . . za pomoc w obronie naszych wybrzeży, za staranność służby, za przykład ducha, triumfującego nad smutkiem utraty . . . za pełne nadziei twarze, gdy maszerujecie naszymi ulicami, za otuchę, którą przepojone są wasze pieśni. . . .

" . . . Cała Szkocja jest dumna, goszcząc Was. . . . Z Bożą pomocą związek nasz uczynimy mocniejszym i ściślejszym, gdyż narody nasze posiadają wiele wspólnego—prostą wiarę, miłość piękna ojczyzny i prawdy—a poza tym niezachwianą determinację. . . .

" . . . Gdy przybędzie Pan, Generale, na czele zwycięskich swoich wojsk do Warszawy—proszę ukazać oczom wszystkim trofeum z promocji doktorskiej w St. Andrews. Szczęśliwa i dobra to wróżba, że doktorskie okrycie Pana posiada barwy pańskiej ukochanej Polski: udrze pan nieco szkarłatu i bieli i da to swemu chorążemu—i tak Doktór Sikorski poprowadzi do Polski żołnierzy. . . ."

Są to urywki przemówienia, którego żaden z nas nigdy nie zapomni. A—swoją drogą—abyśmy nie przeoczyli pięknego pomysłu i serdecznego życzenia. Panowie adjutanci Naczelnego Wodza—pamiętajcie przy naszym powrocie o todze. Ten doktorat honorowy był ofiarowany spontanicznie—i przez obcych. Dlatego wartość jego jest wartością całego społeczeństwa.

* • *

Stawiam szczerze sprawę: wiele osób w nadmiarze pracy nie zdołało zapewne przeczytać doktorskiego przemówienia. Dla tych podaję plan, raczej punktację mowy, bardzo przychylnie przyjętej przez audytorium:

—Prawo jest prawem obowiązującym, gdy zgodne jest z etyką. Nie państwo źródłem prawa, lecz Bóg. Drugim warunkiem jest siła, która winna wspomagać prawo. Niemcy uznają tylko siłę a z państwa uczynili sobie autorytet najwyższy. Brytyjczycy oddawna uznają tylko takie prawo pisane, które jest zgodne z prawem moralnym, niepisanym. W prawie międzynarodowym Niemcy pogwałcili prawa narodów, tak jak pogwałcili u siebie prawa jednostek. Są oni niezdolni do rozumienia prawa etycznego. Przy odbudowie Ligi Narodów trzeba będzie jej dać sankcję siły.

Generał Sikorski wypowiedział swą tezę w formie bez zarzutu pod względem retorycznym.

Zainteresowanym bliżej nauką prawa przypomnę jeszcze psychologiczną teorię prawa ś.p. prof. L. Petrażyckiego. Wyprowadzał on prawo z duszy człowieka. W okresie przed Wielką Wojną był bożyszczem wielu pokoleń studenckich w Rosji. W Warszawie napotkał na uniwersytecie trochę rywalizacji a także wpływy nauki niemieckiej. Znakomity ten uczony przez całe swoje życie kształcił w prawniku obowiązek porównywania litery prawa z sumieniem i prawem niepisanym ducha, czyli tym właśnie co w człowieku może być Boskim. . . .

Petrażycki był uczonym polskim, za takiego się uważał. Pisał przedtym wiele w języku rosyjskim, co mu w Polsce wypominano. Tak, często, przy pomocy drobiazgów, zasnuwa się jasną prawdę. Może który z naszych prawników przypomni nauce brytyjskiej o znakomitym uczonym polskim?

* * *

Całe miasteczko wyległo na ulice aby widzieć nowego doktora. Był serdecznie oklaskiwany zarówno podczas przemówienia, jak i przed Uniwersytetem. Barwne stroje studenterii ożywiły prastarą szarość miasteczka. Jest ono szczególnie urocze. Obejrzałem malutki porcik z kamiennymi cumami. Cudeńko to podobno obchodzić będzie zaniedługo swe 900-lecie. Miano pokazać i jaskinię, w której zamieszkał w IV wieku św. Regulus z relikwiami św. Andrzeja.

Where good St. Rule his holy lay,
From midnight to the dawn of day,
Sung to the billows sound.

Bałwany morskie huczały i teraz i wiatr przeszkadzał w usłyszeniu wspaniałych historii o St. Andrews. Miasteczko to było tyle razy zdobywane i przeżyło tyle wstrząsów, że starczyło by tego na książkę. Teraz—w sposób wybitnie pokojowy i dodałbym spacerowy—jest zdobytę przez Polaków. Przypadek zrządził, że jest tu oddział z największym odsetkiem *gownmen*'ów, jak pozwalam sobie z angielska nazwać moich kolegów "z cenzusem." (Po angielsku *gownman*-uczony, czytać: gaunmen). Stąd tak zwane życie intelektualne, czyli zasadnicza dyskusja, kwitnie tu w całej krasie. Zarazili się tym i niektórzy dowódcy.

Mam nadzieję, że szanowanie uczuć i przekonań odmiennych będzie tam zawsze regułą. Reszty dokona wojna . . . i wiosna. Bo najbardziej ze wszystkich historii w St. Andrews podobała mi się ta o Katarzynce, bratanicy biskupa Kennedy. Biskup założył w XV wieku kolegium św. Salwatora i zbudował wieżę, dominującą nad okolicą. Prócz tego przygotował dla siebie wspaniały grobowiec kosztem 10.000Ł. Ale grobowiec jest mocno draśnięty zębem czasu, gdy żywa jest tradycja Katarzynki. Po dziś dzień w kwietniu maszeruje corocznie orszak średniowiecznych postaci, otaczając ukwiecony wóz, na którym króluje Katarzynka. Mocno wdała się w pamięć studencką ta dziewoja, skoro jeszcze się śpiewa:

Nim stałeś się—ja byłam już dziewczyną
i będę nią, gdy prochem będziesz ty,
me wdzięki poprzez wieki nie zaginą.
ja jestem bowiem—Katarzyna Kennedy.

Całą rozkoszą twą-i niezaznanym czarem-
będę—dopóki męski będziesz ty—
-zabawą, celem i najwyszukańszym darem-
ja jestem wszystkiem—Katarzyną Kennedy. . . .

W oryginale jest oczywiście daleko lepiej. Może autorem tego erotyku jest student Hamilton, spalony przy North Street za jakieś kacerstwo? Oddawna już jednak miasteczko jest opanowane obyczajami łagodnymi. Jest wymarzone dla zgodnej współpracy. Prosiłem Walentynowicza, żeby to narysował. . . .

Tymczasem w jednym z nowoczesnych hoteli bratali się przy stole szkoccy profesorowie z polskimi generałami i pułkownikami. Brak wspólnego języka niezawsze dzieli. . . .

* * *

Powracając do moich zadań sprawozdawczych, zanotować muszę, że Rząd Rzplitej reprezentowany był przez ministra prof. Kota, zaś Rada Narodowa przez red. Nowakowskiego. Chór żołnierski, który śpiewał przy wejściu i wyjściu orszaku senackiego, jest naprawdę tęgim chórem. Nie wiem, kto go spreparował, wiem że go nie zapomnę.

Z "Jędrzejowa," jak nazywają to miejsce Polacy, jest jakoś bliżej chyba do Polski, niż z kamiennego londyńskiego olbrzyma. Jest tam morze rozbijające się o skały lub wbiegające rollersami i grzywaczami na plaże. Morze, które przynosi nowiny: części samolotów niemieckich, to znów jakieś buty z nad Szprewy. Morze, przez które popłyniemy. Jest tam miejsce po starożytnym i może pierwszym w Szkocji kościółku Matki Boskiej Skalnej, jest wiele miejsc do modlitwy i skupienia woli.

Dla nas wszystkich będzie jednak to miejsce przede wszystkim tym pamiętne, że dnia 28 lutego 1941 roku, w swoim i naszym imieniu, gen. Władysław Sikorski wobec świata nauki określił swój i nasz stosunek do etyki chrześcijańskiej, jako głównej podstawy prawa. W okresie, w którym świat dzieli się na dwie części, zaznaczył, że ani siła fizyczna, ani sugestia faktów bezprawiem dokonanych—nie łamią nas. W okresie, w którym formułujemy poza tem naszą postawę wobec przyszłej rzeczywistości polskiej, nie jest to bez znaczenia.

Wiemy, że etyka i siła będą filarami naszego prawa.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz

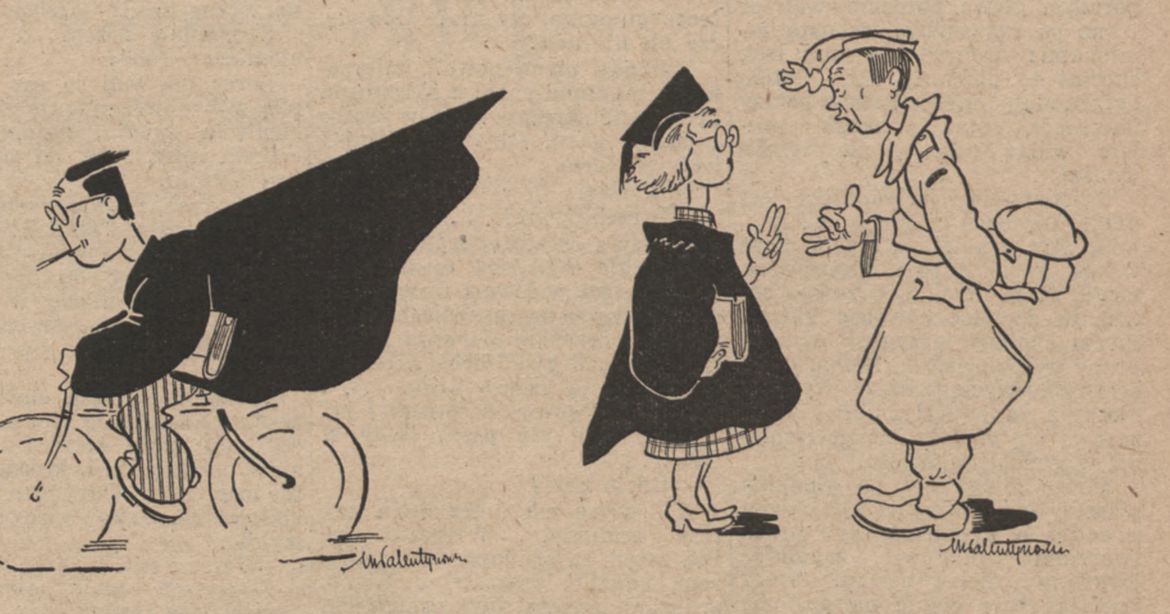
Rysunki Mariana Walentynowicza



Kościół uniwersytecki



Typy profesorów



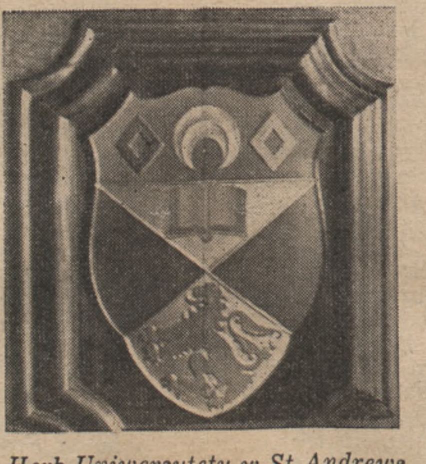
Typy studentów



Tradycyjny akt promocji doktorskiej



Przemówienie rektora Uniwersytetu



Herb Uniwersytetu w St. Andrews



Przemówienie generała Sikorskiego



Przed Uniwersytetem

Z kampanii wrześniowej

Na "pułapie"

Startujemy kluczem w trzy maszyny z małego polowego lotniska. Prowadzi kpt. Sikora; na lewo sierżant Wodzidło, na prawo—ja. Lecę po raz pierwszy w tym zespole. Tamci dwaj są zgrani i znają się nawzajem doskonale. Był z nimi także trzeci—do wczoraj. Zestrzeliły go niemieckie Messerschmidty.

Dawno już nie siedziałem za sterem myśliwskiego samolotu; chyba ze cztery miesiące, a może nawet pół roku. I z pewnością w czasie tego przedostatniego lotu, odbytego zapewne dla przyjemności, nie przyszło mi do głowy, że następny odbędę na prawdziwe zadanie bojowe podczas wojny. Stwierdzam zresztą, że mimo braku treningu, ten pierwszy lot w kluczu pod nieznanym mi z latania dowódcą idzie nie najgorzej: dostosowanie kąta nachylenia maszyny, obrotów śmigła i szybkości do tych samych elementów pilotowania moich towarzyszów nie sprawia mi większych trudności. Po kilku minutach lecę skrzydło w skrzydło z nimi.

Nie mam bynajmniej "przedbitewnego" nastroju. Muszę dopiero uświadomić sobie, że na prawdę lecimy się bić, aby w to uwierzyć. Na razie nie boję się ani trochę i to wydaje mi się dziwne.

Lecimy zwartą trójką, szybko nabierając wysokości:—1.000—1.500—2.000—3.000 metrów.

Lecimy po lewej stronie toru kolejowego w kierunku Radomia, wyzyskując rzadkie obłoki jako osłonę. Ziemia w dole wydaje się cicha i spokojna. Leży rozciągnięta w słońcu i drzemie. Oglądana z powietrza, jest o wiele mniej "wojenna," niż widziana z własnego poziomu. Trzeba dobrze wytężyć wzrok, aby dostrzec zniszczenia: leje od bomb, wywrócone słupy telegraficzne, gdzie niegdzie spalone chaty. Jak zawsze, na łąkach widać bydło i białe plamki pasących się gęsi. Jak zawsze powoli odkładają się w tył popielate linie dróg, ciemnieją kożuchy lasów, płowieją romby i prostokąty ściernisk, zielenieją pasy kartoflisk i buraczane pola, połyskują wypolerowane pasemka szyn.

Na lewo, równolegle ze mną balansuje lekko maszyna Wodzidły. Widzę jego kościstą twarz zwracającą się raz po raz ku mnie z szerokim uśmiechem. Sierżant potrząsa głową porozumiewawczo i raz po raz szybko wzrusza ramionami: Dobrze się nam leci, chociaż to pierwszy raz.—Potem ogląda się po niebie i znów patrzy na mnie, ruszając ramionami: Nie widać nikogo, ale trzeba uważać.

Oglądam się i ja, ale niebo jest puste, bardziej bezludne, niż ziemia, więc z kolei patrzę na lewo wskos, gdzie o parę metrów od mego, nieco niżej, w przodzie balansuje samolot dowódcy klucza. Siedzi skulony, przygarbiony, zebrany w sobie jak do skoku. Czasem tylko wyciąga szyję, wychyla głowę z za odwietrznika i znów zasuwa się głęboko, aż po ramiona, w gondolę samolotu.

Słońce ślizga się po gładkich płaszczyznach skrzydeł i co chwila zawadza o pryzmaty szyb przed twarzami pilotów, zapalając jaskrawe refleksy blasku. Stery rzucają szare cienie na poziome stateczniki w opierzeniu ogonów i drgają lekko w dół i w górę; w prawo i w lewo—jak żywe.

Ostatni obłok, biały i gęsty jak śmietankowy krem, płynie na naszym szlaku. Dalej niebo jest czyste, błękitne, z lekka tylko przydymione na horyzoncie.

Kapitan uprzedza nas ruchem ręki: wejdziemy nad cumulus.

Dodaję gazu. Maszyny wspinają się stromo przez powietrzne progi i oto już wydęte banie, pełne białego blasku, zsuwają się pod kadłuby i stery, a płowy kilim ziemi znika z pola widzenia. Blade, zmienne, niepewne cienie samolotów, raz bliższe i ostrzejsze, raz dalsze, otoczone aureolą światła odbitego od mlecznej bieli—gubią się i odnajdują pod nami, skaczą na łeb na szyję w dół, wypływają nieoczekiwanie w górę, zataczają się, holendrują po miękkich wypukłościach chmury.

Na lewo w tył, z wysoka leje się słońce. Cała olbrzymia przestrzeń nad nami jest pełna blasku, oszalała światłem, oślepiająca. Nie sposób spojrzeć w tamtą stronę. Ale trudno patrzeć również pod siebie: ta słoneczna ulewa spada na biały atłas obłoku tuż pod nami i wdziera się do oczu. Każde drgnienie zmrużonych powiek jest ukłuciem w mózg. Każde spojrzenie na zegary i przyrządy w kabinie pogrąża w odmęt zielonych i czerwonych płatów, które latają przed oczyma aż do zawrotu głowy.

Wreszcie mijamy szczyt cumulusa i daleko przed nami widać już ziemię. Matowy, szorstki jak wełniany koc—ciemny las wyłania się zpoza chmury. Wzrok odpoczywa z rozkoszą, chłonąc tę łagodną jego matowość. Jakby kto chłodną miękką dłoń położył na rozpalonym gorączką czole. Jakby w spiekocie pustyni powiał wilgotny morski wiatr.

Ale co to?—Trzy iskry błysnęły na ciemnym tle. Trzy inne zapaliły się tuż za nimi i zgasły. Szukam ich z natężeniem i—są! Znowu!

Teraz widzę: jedna . . . dwie . . . trzy trójki samolotów!—Dorniery? . . .

Trudno to stwierdzić z całą pewnością: lecą na tle lasów i sylwetki ich z tej odległości są mało wyraźne. Ciągną ku nam skośnie, pod słońce, zbliżając się do toru kolejowego. Idą prosto na stację kolejową, zapchaną pociągami. Wszystko zdaje się wskazywać, że to są Niemcy: czego szukali by tu nasi?

Maszyna Sikory kołysze się gwałtownie z burty na burtę: uwaga! Kapitan wskazuje nam wyciągniętą ręką bombowce. Potakujemy obaj żywo. Potem ramię dowódcy klucza wyciąga się w moją stronę i w górę. Rozumiem: mam pozostać na pułapie dla ochrony tamtych dwóch, oni będą atakować.

W tej samej chwili obie maszyny kładą się lekko na prawe skrzydło, pochylają się w dół i śmigają pode mnie. Idą równiutko, jakby spojone niewidzialnymi wiązaniami. Gnają na pełnym gazie prosto jak strzelił, po linii słońce-stacja kolejowa. Oddalają się szybko, maleją w oczach.

Dopiero teraz ogarnia mnie emocja: dolecą niezauważeni przez tamtych na odległość skutecznego ognia, czy nie? Uda się, czy się nie uda?

Sekundy płyną powoli, mierzone uderzeniami pulsu w skroniach. Mimo woli skręcam nieco w prawo i dodaję gazu, żeby być bliżej i lepiej widzieć.

Dochodzą.

—Strzelają już? . . .

Prawy z ostatniej trójki Niemców nagle wydziera maszynę w górę, skręca w lewo i ukazuje mi czarne krzyże na skrzydłach. Niemal równocześnie pierwsza trójka kładzie się w gwałtowny wiraż na lewo; za nią skręca druga. . . . Ale oto ten prawy z ostatniej już dymi i wali się przez plecy w dół. . . .

—Gdzie nasi?

Nie widzę ich przez dwie, czy trzy sekundy. Wreszcie—są! Idą razem za spadającym Dornierem, nadal nierozdzielni, bliscy, związani parometrową odległością skrzydeł jak stalową klamrą. I nagle dwiema rozbieżnymi parabolami śmigają w górę, by wykwitnąć na niebie powyżej horyzontu. Już się zbiegli, już znowu zespoleni nurkują ku zawracającym Niemcom. Będą atakowali powtórnie.

Ale mnie nie wolno patrzeć tylko na nich: nie po to zostawili mnie tu, na wysokości trzech i pół tysiąca metrów, żebym się gapił w dół. Opamiętałem się w sam czas: trzy czarne punkty suną na prawo ode mnie. Tu zaczyna się moje zadanie—ochrona tych dwu, walczących tam w dole. I oto teraz właśnie ogarnia mnie uczucie osamotnienia.

To nie jest strach: ciągle jeszcze nie uświadamiam sobie, że to będzie walka na śmierć i życie, i wcale nie mam zamiaru umierać. Ale wiem, że będę walczył sam przeciw trzem pilotom, których wcale nie znam, o których nie wiem, ile są warci i co umieją. . . Jest mi tak, jakbym stawał do zawodów, reprezentując polskie barwy i jakbym nie był pewien, czy jestem godzien je reprezentować. Uczucie—wiem o tym bardzo dobrze—wcale nie na miejscu; wcale nie to, które powinno przejmować myśliwca o tak zwanym "wysokim morale."

—A gdzież, do ciężkiej cholery, "zacięta wola zwycięstwa"? Gdzie "żądza natarcia"? Gdzie "nastawienie zaczepne," o którym ciągle aż do znudzenia mówi nasz regulamin?

—Regulamin?!

—Jeszcze tylko tego brakowało, żebym właśnie w tej chwili myślał o regulaminie. . . .

Na szczęście nie ma już czasu na te myśli: trzy Messerschmidty wchodzą akurat na linię prostą, wyznaczoną przez słońce i mój samolot. Skręcam ku nim gwałtownie, cisnąc maszynę w dół. Słońce błyska mi w okrągłym lusterku: jest dokładnie za moimi plecami, podczas gdy trójka Messerschmidtów jest dokładnie przede mną.

Od razu nabieram pewności siebie: jestem niewidzialny w ulewie słońca; jestem o dobre 300 metrów wyżej, niż oni; mam nad nimi olbrzymią przewagę w ciągu najbliższych dziesięciu lub dwunastu sekund.

Podciągam się nieco z fotelem w górę. Tak: teraz mogę wygodnie mierzyć przez kolimator. Ale na to jeszcze czas. Są daleko, o wiele za daleko, aby mój ogień był skuteczny.

Lecimy po skośnych torach, schodzących się gdzieś daleko w przestrzeni, na samym horyzoncie.

To ja przecinam ich drogę. To ja atakuję. To ja pierwszy zacznę strzelać—oby tylko nie za wcześnie.

Jeszcze trochę naciskam ster i ciągnę rączkę od gazu, która zresztą więcej odciągnąć się nie da: silnik wyje na pełnych obrotach.

Oni lecą dalej prosto, nie zmieniając szyku ani kierunku. Zapewne nie dostrzegli walki naszych z Dornierami, z pewnością zaś nie dostrzegli mnie. Widzę ich przez kolimator. Wchodzą na co raz większe jego pierścienie; potem dowódca klucza i prawoskrzydłowy już się w nich nie mieszczą; potem lewoskrzydłowy zajmuje drugi pierścień. . . . Potem—trzeci pierścień. . . .

Maszyna gwiżdże, spazmuje, wrzeszczy pędem. Silnik ryczy. Przez głowę przelatuje mi niedorzeczna myśl:—Usłyszą!

Spoglądam zezem na szybkościomierz:—430!

Serce mi wali co raz mocniej, siłą woli powstrzymuję się od naciśnięcia spustu, natomiast zaciskam zęby, żeby mi nie dygotały szczęki.

Czas traci zwykłe wartości. Sekundy przestają istnieć, jako stałe jego wymierne jednostki: jedna niepodobna jest do drugiej, bo trwają co raz dłużej w postępie więcej, niż geometrycznym, w miarę, jak zbliżam się do przeciwnika.

Muszą mnie lada chwila zobaczyć. Lada chwila ktoś z nas: ja, oni—lub może słońce?—wyłamie się z prostej linii, która stanowi tor mego lotu. Odrywam twarz od kolimatora, żeby sprawdzić odległość.

—Jeszcze nie.

I—jeszcze mnie nie widzą. Jeszcze lecą razem.

To zdaje się trwać już Bóg wie jak długo.

—Spokojnie. Tylko spokojnie.

Trudno jest nakazać sobie ów konieczny spokój przy szybkości prawie 450 kilometrów na godzinę, na wysokości 3.000 metrów, podczas gdy o kilometr niżej toczy się walka dwóch przeciw dziewięciu i gdy ma się samemu lada chwila zacząć strzelać. Jeszcze trudniej utrzymać ten spokój bodaj przez dwie sekundy.

—Nie strzelać. Jeszcze nie strzelać. Jeszcze nie. . . .

Lewoskrzydłowy Messerschmidt rośnie w moim kolimatorze. Teraz już nie nam czasu, żeby oderwać od niego wzrok: jest blisko. Ale jeszcze raz wstrzymuję nacisk palców na spust, i oto widzę twarz niemieckiego pilota: odwraca głowę i spogląda na mnie. Ta jasna twarz jest w samym środku celownika. Biorę poprawkę i—dreszcz krótkiej serii karabinów maszynowych wstrząsa moim samolotem.

Jednocześnie Messerschmidt kładzie się lekko na skrzydło, wypływa w górę, zawija w lewo ogonem i wali się nagle pode mnie w dół korkociągiem.

Ani na chwilę nie spuszczam go z oka, przekonany, że chce mi się wymknąć. Zamykam gaz, podciągam, kopię ster w lewo i nurkuję za nim z wywrotu. Przez sekundę zapadam w ciemność: siła odśrodkowa (450 na godzinę w krótkim, gwałtownym przerzucie!) wysysa mi wszystką krew z mózgu. Ale już odzyskuję wzrok i obrzydliwe uczucie mdłości mija równie szybko, jak przyszło.

Messerschmidt wychodzi ze zwojów, nie przestając nurkować.

—Nic z tego nie będzie, szanowny panie — myślę. — Spróbuj tylko wyrównać—właśnie na to czekam.

Lecz on nie równa. Nurkuje co raz ostrzej, przechodzi niemal na plecy i—dymi. Dymi! Pali się!

Najpierw zdumienie, a potem radość rzuca mi do głowy falę krwi: zestrzeliłem samolot. Jedną serią. P i e r w s z ą serią. Przeżywam wstrząs, podobny do wstrząsu gracza, który postawił wielką stawkę na numer i wygrał. Albo — jeszcze dokładniej — wstrząs myśliwego, który położył pierwszym strzałem grubego zwierza.

Zresztą nie miałem zbyt wiele czasu na analizę tych uczuć i na filozofowanie. Dwaj pozostali Niemcy siedzieli mi na karku. Teraz oni mieli przewagę: byli wyżej i—za mną.

Nigdy jeszcze—nawet przez tak krótki czas jak wówczas—nie uświadomiłem sobie tak dokładnie, że mam plecy. Czułem je. Cała moja świadomość była związana z ich kształtem, z napięciem skóry, z układem mięśni i kości, nieomal z rozgałęzieniem żył i tętnic. Nieco mniej wyraźnie czułem nogi od kolan w dół i ramiona od barków po łokcie. Zato kark i tylna część czaszki stały się nagle wrażliwe tak samo jak plecy: wiedziałem o każdym włosie pod kominiarką i czułem z którego miejsca wyrasta. Moje plecy, kark i czaszka narażone były najbardziej na pociski z niemieckich samolotów. Czekały na nie. A moja świadomość przez kilka sekund przylepiła się do tego oczekiwania.

Zapewne z tej przyczyny nie od razu zdałem sobie sprawę, co mogą oznaczać delikatne, zaledwie dające się zauważyć nieregularne drgania mego rozpędzonego PZL-a. Dopiero kiedy zobaczyłem tworzące się raz po raz zadry blachy na skrzydłach, zrozumiałem: strzelają.

Wiedziałem, że są blisko i że nie powinienem się oglądać. Ziemia pędziła ku mnie, co raz większa i co raz wyraźniejsza, puchnąc mi w oczach, a oni strzelali mi po skrzydłach. . . .

Zdecydowałem się na jakich pięciuset metrach. Przemocą sterów odwróciłem maszynę o pół zwoju korkociągu i ściągnąłem na siebie drążek. Wcisnęło mnie w siedzenie. Ręce, nogi i żołądek nalało mi ołowiem. Przez serce przewaliła się krew i uciekła w dół ciała, a głowa zanurzyła się w chłodną, mdlącą ciemność, podobną chyba do śmierci.

Zapewne tylko nawykiem mięśni wyrównałem stery, bo przez chwilę nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Pierwszym wrażeniem, jakiego doznałem odzyskując świadomość po tym ryzykownym skręcie—było uporczywe dzwonienie w uszach. Potem jak przez mgłę zobaczyłem tablicę zegarów wyłaniającą się z ciemności, co raz wyraźniejszą i ustalającą się przed moim roztańczonym wzrokiem. Wreszcie—zwichrowany horyzont, skośnie przekreślony skrzydłami mojej maszyny.

Potem usłyszałem jak silnik krztusi się i kaszle, pozbawiony nagle przypływu mieszanki i równie nagle zachłyśnięty jej nadmiarem po skręcie.

Odetchnąłem głęboko i rozejrzałem się. Byłem sam. Daleko poza mną kładły się w wiraż dwa Messerschmidty a dalej jeszcze i nieco wyżej sunęły ku nim z góry dwa PZL-e.

Dopiero teraz wróciła mi utracona pamięć poprzednich zdarzeń: to były przecież PZL-e z naszego klucza . . . Kapitan i Wodzidło załatwili się z Dornierami dość szybko, aby mi przyjść z pomocą. Ale—przecież Dornierów było dziewięć . . . Dornierów było dziewięć, a ich dwóch! I mimo to już gnają z góry na Messerschmidty, podczas gdy ja mogę im się tylko przyglądać.

Widzę ich na tle nieba, mając słońce z boku, ale nawet marzyć nie mogę o wzięciu udziału w pościgu: jestem o dobre 400 metrów niżej niż oni, oddalony o kilometr od nich. Nie dogonię stąd nigdy Messerschmidtów, a one wcale nie mają zamiaru czekać na mnie . . . Zresztą i nasi nie dadzą im rady. Dopóki szli skośnie w dół, dopędzali je zwolna. Teraz wyrównali i odległość między nimi się zwiększa.

Messerschmidty są mniej zwrotne niż nasze jedenastki. Niemieccy piloci są słabszymi strzelcami, niż Polacy i nie zdobywają się na to, by atakować, gdy siły są równe. Za to ich samoloty są szybsze, niż nasze. Jeżeli uciekają na jednym poziomie z pościgiem—nie można ich dopędzić. A właśnie uciekają teraz.

Moi towarzysze zawracają. Jak zawsze Polacy—potrzeba, czy nie potrzeba—z fasonem: skrzydło od skrzydła o metr, okrągło i gładko przeorali niebo od horyzontu do zenitu, błysnęli słońcem na sterach w półbeczce, zawiśli—rzekłbyś—na chwilę nieruchomo w przestrzeni, drwiąc z prawa ziemskiej grawitacji i zamiast mu ulec, zamiast zwalić się w dół po tym młyńcu o trzystumetrowym promieniu—wypłynęli razem w tył z zawrotu, znacząc podwójny ślad warkoczami bledniejącego dymu spalin.

Dodałem gazu i wydźwignąłem się w górę stromym skrętem, aby się z nimi zrównać. Powitali mnie wzniesieniem lewego ramienia—także jak na komendę.

Zbliżyłem się, wyrównałem, przypiąłem się do klucza. Sikora spoglądał na mnie raz po raz, wykręcając głowę i krzywiąc się niemiłosiernie. Sierżant rozdziawiał w uśmiechu swoją kościstą, końską gębę i prędko ruszał ramionami, co oznaczało u niego wielkie zadowolenie.

Szliśmy w dół na małej szybkości w kierunku stacji. Wtem kapitan zawachlował skrzydłami, rozkołysał się z burty na burtę, domknął gaz i runął pionowo w dół. Za nim jak kamień spadał sierżant. Ja zostałem nieco z tyłu i tak gnaliśmy prosto na tory kolejowe rozciągniętą trójką, jak trzy spadające pociski.

Nie od razu zrozumiałem, co to ma znaczyć. Dopiero spojrzawszy uważniej na ziemię, dostrzegłem przyczynę wariackiego nurka: po obu stronach szyn, połyskujących jak srebrne nici na klockowej koronce podkładów,—leżały szczątki dwóch Dornierów. Urosły mi gwałtownie w oczach, wyłamały się kanciasto, plastycznie z zieleni łąki, zesztywniałe w bezruchu, martwe.

Pędziliśmy wprost na nie ze świstem i wyciem fletnerów, aż na wysokości stu metrów Sikora zdarł maszynę, zarył brzuchem i śmignął z powrotem w górę, nad stację kolejową, a za nim Wodzidło ryknął przeraźliwie gazem w świecy, wyleciał jak rakieta i pociągnął mnie swoim torem.

Miałem największą szybkość, bo nie domykałem gazu i wyprzedziłem ich obu. Znalazłszy się na czele, skręciłem w prawo i szukałem wzrokiem mojego Messerschmidta. Ale oni zobaczyli go wcześniej, bo wyminęli mnie nagle jeden za drugim tuż blisko i poszli w dół.

Niemiec leżał niedaleko, za szosą, u skraja lasu i dymił jeszcze wśród czarnej plamy wypalonego rżyska. Sikora przewinął się w skręcie między nim a drzewami: Wodzidło nieomal musnął podwoziem sterczący szkielet kadłuba i, kopiąc ster boczny raz w lewo, raz w prawo, zamiatał przede mną ogonem z wielkiej uciechy.

Wykręciłem za nim. Dodaliśmy gazu i zwartym szykiem pociągnęliśmy w stronę lotniska. Wielki obłok, wydęty jak żagiel, wpełzał pod słońce i okrywał cieniem pobojowisko. Nad nim—na pułapie—krążył samotny jastrząb, szukając żeru. . . .

Porucznik Herbert

Zdarzenie prawdziwe, nazwiska fikcyjne i dlatego podane w pełnym brzmieniu.

Z życia obozów

Na Łyczakowie w . . . Szkocji

Wieczór już zapadał, gdy autobus, wiozący "Lwowską Falę" zatrzymał się za miasteczkiem, przed dużym drewnianym pawilonem, w którym miało się odbyć przedstawienie. Płaska, przykryta śniegiem równina, upstrzona tylko gdzie niegdzie krzakami szkockiego jałowca, opadała lekko ku zamglonej, oddzielonej od nas ruchliwą ciżbą śniegowych płatków "polskiej granicy." Tak nazywają bowiem nasi żołnierze morze północne, które leży między nimi a Ojczyzną.

Weszliśmy do sali "teatralnej," po której przechadzał się swobodnie mroźny wiatr, a lampy gazowe słabo oświetlały pozbawioną kurtyny scenę, na której czyniono przygotowania.

Zaczynamy. Zespół ustawiony w szeregu odbywa swoją wesołą odprawę. Spoglądamy na salę zatłoczoną żołnierzami z żółtobiałymi proporczykami na kołnierzach płaszczów. To ułani Jazłowieccy, których srogi los wojny przerzucił z łyczakowskiego wzgórza we Lwowie na szkocki brzeg. Niedaleko na wrzosowisku stoją ich baraki z falistej blachy. Nie najcieplej musi być w tych "beczkach"—jak je nazywają żołnierze—w czasie mrozu i wichrów, których w tej okolicy nigdy nie braknie, a jednak nadmorscy ułani czują się w nich dobrze i nie zazdroszczą kolegom, mającym wygodniejsze kwatery.

Powoli nasz teatr zaczyna się nagrzewać, a równocześnie podnosi się temperatura nastroju widowni i śmiech rozbrzmiewa w pawilonie co raz bardziej huczny, co raz szczerzej radosny. A gdy pod koniec popłynęły ze sceny popularne piosenki o "kulparkowskiej kompanii" i romantycznych spacerach Maniusi "ślicznej jak róża"—do radości przyplątała się melancholijna nuta wspomnienia i zjednoczyła wykonawców i widzów mocnym węzłem najgorętszej tęsknoty.

Kończy się przedstawienie, pustoszeje sala, ułani znikają w śnieżnej zamieci, która roztańczyła się na dobre. Wychodzimy i my zaproszeni na wieczerzę i pogawędkę. Właśnie Miśko, ułański szofer, kończy fachową naradę ze szkockim kierowcą naszego wehikułu krótką konkluzją, wyrażoną w klasycznej lwowszczyźnie: "Hulamy do kasyna—*you going* za mną, za mój *carr-understand?*" "*All right*" odpowiada Szkot i dla udowodnienia swoich postępów w języku polskim dodaje jeszcze: "dobrze."

W długiej sali, podobnej trochę do refektarza klasztornego, spożywamy polską wieczerzę, a potem gromadzimy się w sąsiedniej sali przy kominku, aby pogwarzyć z dawnymi znajomymi ze Lwowa. Ściany tego żołnierskiego "salonu" ozdobiono fotografiami z Polski. Przypadamy do nich chciwymi, stęsknionymi oczami: oto lwowski pomnik Mickiewicza, oto katedra wileńska, gmach opery w Warszawie, a dalej jakiś mały domek drewniany z dachem przykrytym gałęziami kwitnącej jabłoni i falujący łan dorodnej pszenicy.

Ale nie koniec wzruszeń. Na ścianie, naprzeciw godła Rzeczypospolitej, zawieszono osobliwą—jak się nam w pierwszej chwili zdawało—dekorację: koło ratunkowe biało-czerwone z napisami u góry: "Piłsudski" u dołu: "Gdynia."

—To nie dekoracja—mówi je-



den z oficerów—to rzeczywiste koło ratunkowe zatopionego polskiego statku. Kilka miesięcy unosiły je fale, aż ostatniej jesieni, w kilka dni po objęciu straży przez batalion jazłowiecki, znaleźli je żołnierze na piaszczystym brzegu.

Patrzymy ze wzruszeniem na biało-czerwony krąg na ścianie: mimo kilkumiesięcznego unoszenia się na falach barwy są dość świeże, w kilku miejscach tylko nadżarte przez słoną wodę, napisy zupełnie wyraźne. Na honorowym miejscu w świetlicy oficerów polskiej kawalerii wisi ten skromny przedmiot jakby pozdrowienie z Gdyni dalekiej, jakby posłanie pośmiertne od bohaterskiego kapitana Stankiewicza, symbol tułaczej doli żołnierza polskiego, wyrzuconego na obcy brzeg. Jakby przypomnienie nieustępliwej walki, którą od pierwszego dnia wojny toczą z wrogiem śmiertelnym okręty Rzeczypospolitej.

Powoli goście i gospodarze gromadzą się przy kominku. Płyną wspomnienia. Najpierw te dawne z szczęśliwych dni wolności, gdy wspaniały 14 pułk Ułanów Jazłowieckich, chluba Lwowa, otwierał defiladę wojsk w dniach świąt i rocznic narodowych, gdy poprzedzani słynną orkiestrą na białych koniach jechali ułani, wśród okrzyków lwowskiego ludu, po skończonej rewii, do swoich koszar na Łyczakowie.

A potem słuchamy dziejów niedawnych bojów: pod Częstochową, Wieluniem, Warszawą, bohaterskiego przebijania się przez straszliwy pierścień niemieckich dywizyj. Pytamy o losy przyjaciół i znajomych: wielu poległo, wielu dostało się do niewoli, garstka jedynie przedostała się na wyspy brytyjskie i po uzupełnieniu tworzy batalion im. 14 pułku ułanów strzegąc wiernie rycerskiej tradycji. Nawet obraz Matki Boskiej Jazłowieckiej na polowym ołtarzu wymalował lwowski malarz, obecnie podchorąży batalionu.

I choć ludzi nie tyle co dawniej, przecież solidnie, sumiennie, a z kawaleryjską fantazją pełnią Jazłowiacy swoje codzienne obowiązki, czekając na chwilę rozprawy z wrogiem. "Kiedy jednak staniemy na polskiej ziemi—mówił z wiarą jeden z oficerów i wydobędziemy z ukrycia sztandar pułkowy, ozdobiony krzyżem Virtuti Militari, zbiegną się rozproszeni Jazłowczycy ze wszystkich stron na bój ostateczny o wolność Polski i oswobodzenie umiłowanego miasta."

Mijają kwadranse i godziny, snują się wspomnienia przeplatane piosenkami, śpiewanymi przez koleżanki z zespołu, harmonista nasz wygrywa na przemiany rzewne kujawiaki i skoczne oberki, otaczają nas znajome bliskie twarze. Tylko Lwów jest daleko.

Czas wracać do domu, więc żegnamy się z gościnnymi gospodarzami. Na polu ogarnia nas od razu zamieć śnieżna: wiatr gwiżdże mocno. To tylko "morka" łagodna informują nas świadomi morskich spraw oficerowie, dopiero, gdy się przygodzi sztormowa pogoda, wtedy dmucha przyzwoicie.

Motor naszej dryndy już zapuszczony, a Miśko kończy instruowanie naszego Szkota: *you must drive*—na przód *to the left*, do szosy, *and after* już *direckt*, prosto przed siebie." "Dobrze"—odpowiada nasz kierowca i wóz smagany śnieżycą rusza w drogę.

Ludwik Bojczuk

W świetlicy

Świetlica. Duży trzymasztowy namiot. Popołudnie. Deszcz i wicher trzęsie płótnem, chybocą płomienie lamp i świec. Wewnętrzna strona namiotu lśni wilgocią. Na papier spadają duże krople wody. Przecieka! . . .

Zimno. Szeleszczą po żwirze kroki żołnierzy. Gramofon gra codzienną serię tych samych płyt. Na "zdobycznej" kanapie okupuje miejsca kilku młodziutkich żołnierzy. Rozmawiają półgłosem, wodzą za mną oczami tak, jak się patrzy w światełko bezmyślnie, uparcie. . . . O czym myślą, o czym mówią? . . .

Kapitan Z. gra obok w szachy. "Szach królowi i królowej"! Pada mocne słowo. Konsternacja. Udaję, że nie słyszę i wybiegam do namiotu obok, by się wyśmiać do woli.

—"Herbaty! . . . Gorącej, mocnej herbaty!"—Wpada zmoknięty służbowy. "Witaminki"—marudzi nasz pupilek lwowiaczek i z ciężkim sercem, pokryjomu sprzedaję mu pomidory, które są mi potrzebne do kanapek.

—"Bardzo poważnie zaciążyła pani na moim budżecie"—mówi do mnie jeden z żołnierzy, przysięgły kibic świetlicy, "Strzyżenie i żyletki kosztowały mnie dziś . . . co! Znowu bez botów!"—przerywa sobie—"I bez płaszcza! A gdzie peleryna?"

Czuję się bardzo winna i staram się wytłumaczyć. "Będę musiał się tym zająć," grozi i wychodzi zły, mrucząc pod nosem o babskich fanaberiach. Na leżaku w cieniu, nad zeszłotygodniową gazetą jakaś głowa i smutne oczy. Uśmiecham się. Chwila wahania i uśmiech wdzięczny, wzruszony. . . . Robi mi się ciepło i jasno koło serca. Cieszę się.

Komunikat radiowy! Skupiamy się przy głośniku. Deszcz szumi i przeszkadza.

—"Co, do pioruna z tym aparatem, Wujciu"!—grzmi zdenerwowany bas.

—"Pss, Pss"—syczą, jak żmije żołnierze.

Mówią o Warszawie. Młodzież na kanapie siedzi z głowami opuszczonymi. Twarze ukryte w dłoniach. Najdroższe chłopaki!

Koniec! Wybiegam pierwsza w deszcz i noc. Biegnę w ciemnościach do autobusu, potykam się o liny namiotów.

—"Stój! Kto idzie!"

—"Duch! Dobranoc!"

Janina Wojciechowska

Z prasy żołnierskiej

Pewien dziennikarz angielski pisząc o polskich żołnierzach w Wielkiej Brytanii stwierdził, między innymi, ich wielką przedsiębiorczość. "Gdyby zrzucono ich gdzieś w pustyni na spadochronach—pisał—na pewno na drugi dzień postaraliby się o wydawanie własnego pisma, któreby miało najświeższe wiadomości, a nawet fotografie."

Ilustracją tego twierdzenia o tworzeniu po prostu z niczego może być setny numer "Biuletynu" wydawanego przez jedną z Brygad Kadrowych. Poświęcony on został szczególnemu omówieniu z punktu widzenia wojskowego trzech frontów obecnej wojny: północnego (W. Brytania, Niemcy), południowego (Bałkany, Afryka) i Dalekiego Wschodu. Podano przebieg dotychczasowych walk, omówiono siły i bazy walczących państw, zgromadzono masę materiału faktycznego, a osiemnaście mapek uplastycznia te interesujące wywody.

Szata zewnętrzna — mimo skromnego środka drukarskiego, powielacza!—naprawdę imponująca. Imponują zwłaszcza mapki.

* * *

Gdy już mowa o takiej przedsiębiorczości dziennikarskiej wspomnieć trzeba także o tygodniku "Co słychać." W krótkim czasie z nakładu 40 egzemplarzy wzrósł do 1200. Treść tygodnika to tłumaczenia najciekawszych artykułów z prasy angielskiej. Oto spis ich dla przykładu z jednego z ostatnich numerów: "Niemiecka dywizja piechoty," Cześć flocie handlowej," "Typowy Anglik," "Gdyby Hitler dostał flotę francuską," "Po Benghazi." Co za rozmaitość treści!

Dodać należy, że szata graficzna, znów przy skromności środków, bardzo estetyczna i na wysokim poziomie.

* * *

"Wiadomości ze Świata" drukują interesujący i aktualny artykuł W. Kisielewskiego "VI-a kolumna, nowa broń Hitlera." Przez ten termin rozumie autor efekt pracy "V-ej kolumny," "psychozę strachu" rozkład duchowy, jaki ona powoduje w narodach atakowanych. Kisielewski gromadzi dużą ilość faktów ilustrujących działanie tych broni stosowanych i udoskonalonych przez Hitlera od roku 1933. Szczególnie ważna jest w tych wywodach następująca niezmiernie słuszna uwaga:

"Cechą charakterystyczną propagandy i dywersji niemieckiej jest praca nad wytworzeniem t. zw.: "destrukcji własnej," czyli wyzyskiwania istniejących już nastrojów, antagonizmów itp. wyolbrzymianie ich drogą pracy, na tej: "wewnętrznej fali."—Dlatego na to głównie trzeba zwracać uwagę."

Bezsporny jest także końcowy wniosek i postulaty artykułu:

"Zapoznać się, drogą wykładów, czy broszur, z systemem akcji rozkładowej wroga i "uodpornić"—stwarzając niewzruszone fundamenty w zakresie: ideji, moralności i pracy, które w pierwszym rzędzie atakowane są przez dywersję i propagandę wroga.—Nie poddawać się wpływom obcym, wieściom z wątpliwych źródeł, a następnie—nastawiać się psychicznie nie tylko, czy jedynie do obrony, ale do walki!, w której, przy równej broni, szanse są równe.—Nie znaczy to niedoceniać siły przeciwnika, lub ją bagatelizować.—Ale ostatecznie—przecież nie djabły wojują tylko ludzie. Spadochroniarz, czy żołnierz niemiecki, jest też człowiekiem, a jako człowiek ma też instynkt samozachowawczy i takiego samego stracha jak ten który z nim walczy.—A jeśli go pokona bez trudu, przy równym uzbrojeniu, to znaczy, że przeciwnik był — psychicznie mniej od niego odporny!

Jest to tak zwany problem: "niszczenia woli walki u przeciwnika"—który Niemcy doprowadzili do pewnej doskonałości, dzięki, częściowo, braku przeciwdziałania.

Musimy się więc przygotować i analizować wszystko co słyszymy, czytamy i widzimy i być spokojnymi w całej naszej masie. Bo duża nawet odporność jednostki, nie rozwiązuje całkowicie zagadnienia walki. Ale z chwilą, kiedy wszyscy będziemy psychicznie odporni—stworzomy potencjał siły, odpowiadający sile przeciwnika, co przy angielskiej, pierwszorzędnej broni da szanse walk zwycięskich i co jeszcze ważniejsze — przetrwania okresu wyczekiwania inwazji, w formie niedopuszczającej do załamania duchowego przed walką.—A na tym właśnie polega, system —"nowej broni Hitlera" czyli, psychologicznego oddziaływania na jednostki i masy, co już niejednokrotnie mieliśmy możność sprawdzić."

W. L.



rys. Marian Smarzewski

Wojna na morzu

WOJNA PODWODNA

Hitler w swojej ostatniej mowie monachijskiej odgrażał się brytyjskiej flocie handlowej i sprzymierzonej, że "na wiosnę przestanie istnieć." Dla udokumentowania jednak takiego twierdzenia musiał się zaraz posłużyć kłamstwem i to grubym. Powiedział bowiem, że niemieckie okręty podwodne "w dwa dni zatopiły Anglikom 215.000 tonn statków razem z 125.000 tonn z ostatniej niedzieli pod wyspami Azorskimi." Miał to zrobić krążownik pomocniczy niemiecki, a jak niektórzy twierdzą krążownik klasy "Hipper," który rzeczywiście znajduje się niedaleko tych wód, gdyż został zbombardowany przez R.A.F. w dokach Brestu. W dzień tego bombardowania — również w Breście — "umarł" znakomity marynarz niemiecki vice-admirał Lothar von Arnauld de la Periere. Dowodził on w poprzedniej wojnie okrętem podwodnym U 35 i zatopił podobno 500.000 tonn statków alianckich. Posiadał też najwyższe niemieckie odznaczenia i uchodził w Niemczech za największy autorytet walki okrętami podwodnymi.

Otóż Admiralicja angielska ogłosiła oficjalnie, że w twierdzeniu "rozpędzonego führera" jest zaledwie część prawdy i to część bardzo malutka. Prawdą bowiem jest, że w tygodniu napaści na transport (pomiędzy wyspami Azorskiemi, a Portugalią) tonnaż zatopionych statków jest większy, niż poprzedniego tygodnia, lecz nawet jeśli uwzględnić całe 7 (a nie 2) dni tygodnia tonnaż zatopionych statków w tym (mniej fortunnym) okresie wyniósł tylko 83.725 tonn, z czego podczas napaści pod wyspami Azorskimi zginęło sześć statków o tonnażu 49.707. . .

Zaiste mało ma argumentów morskich "współczesny Attyla," jeśli musi się uciekać aż do tak mocnych "przejaskrawień." Toteż czy jego, szumnie zapowiadana, olbrzymia akcja wiosenna "miniaturowymi łodziami podwodnymi" będzie rzeczywiście tak straszliwa w skutkach, jak to zapowiadają gazety pana Goebbelsa i sam Hitler? . . . Należy być na wszystko przygotowanym, ale równocześnie wątpić trzeba poważnie. Będzie to coś tak "*kollossal*," jak miny magnetyczne i dźwiękowe, które były dotąd straszne dopóki były . . nieznane. W każdym razie Anglicy, jak zawsze spokojni i rozważni, obrali metodę najsłuszniejszą. Z góry liczą się z najgorszą ewentualnością i zupełnie poważnie przygotowują się do zwalczania wzmożonego niebezpieczeństwa na morzu. . . Admiralicja w ciszy i w tajemnicy robi swoje (że skutecznie, dowiodły niejedna akcja i kontrakcja!), gdy tymczasem społeczeństwo brytyjskie z trybuny parlamentarnej i na łamach dzienników i periodyków odważnie zastanawia się nad tym zagadnieniem.

Niektóre wystąpienia i uwagi są niesłychanie ciekawe i . . słuszne. Lord Chatfield Admirał floty brytyjskiej udzielił przedstawicielowi "Daily Telegraph" bardzo znamiennych informacji. "Bezwzględnie należy w niedalekim czasie spodziewać się wzmożonego ataku na nasze linie komunikacyjne z powietrza, zpod wody i znad wody, co będzie ułatwione przez posiadanie przez Hitlera ogromnej ilości baz od skrajnej północy Europy do jej południa" —mówił on—"toteż musimy być w pierwszych tygodniach tego ataku przygotowani na takie straty, że zanim znajdzie się na to nowa rada, mogą się one stać alarmujące. Ale należy przystąpić już teraz do natychmiastowego przeciwdziałania. Zdaniem moim ze strony czynników do pewnego stopnia cywilnych, przeciwdziałanie to powinno polegać na: I) wykorzystaniu do granic możliwosci już istniejącego tonnażu—żaden statek nie może być bezczynny w porcie, 2) wzmożeniu i usprawnieniu reperacji i napraw w stoczniach, 3) jak najbardziej intensywna budowa pożytecznych i użytkowych typów statków.

Lord Rotherwick, prezes Izby Okrętowej w Londynie w przemówieniu dnia 27 lutego b. r. wzywał rząd to upaństwowienia budowy statków i budowania typów najbardziej dostosowanych do obecnych warunków i potrzeb wojny. (Kto zna angielskie poglądy na tę sprawę musi uznać, że zdanie wygłoszone przez Lorda Rotherwick jest wprost rewolucyjne). Lord podkreślał, że prywatni armatorzy budują statki o małym tonażu ze względu na szybkość ich budowy, większą rentowność i mniejszy koszt. Tymczasem interes narodowy,twierdził mówca,—wymaga większego tonnażu, który by mógł w ciągu mniejszej ilości podróży, przy użyciu mniejszej ilości okrętów konwojujących, przewieźć większą ilość tonn koniecznych towarów.

W parlamencie również zastanawiano się nad tym zagadnieniem, a wszyscy mówcy kończyli swoje przemówienia jednym charakterystycznym, krótkim zdaniem: trzeba mieć i mamy zaufanie do naszej Marynarki Wojennej. (*We must have confidence in the Navy. It is what we have to depend on.*)

NA PACYFIKU

Wprawdzie w stosunkach brytyjsko-japońskich jakby nastąpiło pewne odprężenie po rozmowie premiera Churchilla z japońskim ambasadorem w Londynie, ale sprawa "wojny na Pacyfiku" nie przestała być zagadnieniem otwartym. Japończycy nie przestają podejrzanych manewrów nie tylko politycznych w postaci mów swoich przedstawicieli oficjalnych (minister Spraw Zagr.), którzy domagają się "ustąpienia rasy białej z Oceanu Spokojnego (ładnie mi "spokojny"), ale również manewrów okrętami wojennymi oraz co raz to nowych koncentracyj wojsk, zwłaszcza w Indo-Chinach, pod pozorem nadzoru nad lojalnym wykonywaniem rozejmu francusko-siamskiego.

Trzeba sobie w tym wszystkim zdać jasno sprawę, że sytuacja na Dalekim Wschodzie związana jest organicznie z dziejami wojny w Europie i zależy od tego, co się stanie na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Niepowodzenie na bliskim nam terenie wojny może doprowadzić do wybuchu pożaru na Pacyfiku, mocna sytuacja Wielkiej Brytanii w konsekwencji doprowadzi do ostatecznego "odprężenia" w zawiłych stosunkach japońsko-amerykańsko - holendersko - brytyjskich.

MORZE ŚRÓDZIEMNE

Na Morzu Śródziemnym Brytyjczycy i mała, ale bardzo dzielna flota grecka (Grecy, obok Dalmatyńców bezsprzecznie są najlepszym materiałem marynarskim Basenu Morza Śródziemnego) topią wprost hurtem "nieszczęsnych makaroniarzy." R.A.F. i Flota Brytyjska robią pod tym względem wyścigi.

Niedawno Admiralicja angielska podała do wiadomości ostatnie czyny brytyjskich okrętów podwodnych na Morzu Śródziemnym. I tak H.M.S. "Upholder" zatopił dwa nieprzyjacielskie statki pomocnicze. Jeden z nich był statkiem o 8.000 tonnach, drugi o 5.000. H.M.S. "Rover" zatopił włoski tank na ropę. H.M.S. "Regent" pogrążył w fale okręt pomocniczy "Citta di Messina" (2.472 tonn). H.M.S. "Utmost" wypuścił torpedę na 8.000 tonnowy statek w konwoju. Statek ten był widziany potem, jak tonął, otoczony innymi statkami konwoju. H.M.S. "Truant" atakował cały konwój ogniem z dział (oczywiście wynurzony na powierzchnię) i zrobił wielkie szkody w konwoju. Ten sam okręt zatopił potem torpedą 3.500 tonnowy statek. H.M.S. "Triton" (który niestety poźniej sam zatonął podczas innej akcji) utopił dwa włoskie okręty pomocnicze, z których jeden był wielkim okrętem ponad 8.000 tonn. Grecki okręt podwodny zatopił wielki transportowiec włoski z wojskiem: "Sardenia" (Około: 10.000 tonn). . . . Poza tą akcją brytyjskie stawiacze min zaminowały centralną połać Morza Środziemnego pomiędzy Sardynia, Sycylią i południowymi Włochami z jednej strony, a północną Afryką z drugiej.

Niemieckie bombowce nurkujące za wszelką cenę starają się przeszkodzić swobodnemu poruszaniu się konwojów brytyjskich po Morzu Środziemnym. Tu stwierdzić należy z całą stanowczością, że transporty brytyjskie ani na jedną chwilę nie zaprzestały nieustannych podróży, konwojowane przez najsilniejsze jednostki Floty Brytyjskiej, lub po prostu przez . . . kontrtorpedowce i niejednokrotnie, już po wielkiej bitwie powietrzno-morskiej przy Sycylii, dały solidną odprawę Niemcom, tak samo jak przedtem Włochom. Największym "czynem" niemieckich bombowców na Morzu Środziemnym był w ostatnich czasach atak na okręt szpitalny "Dorsetshire," pomimo, że był cały pomalowany na biało z wielkimi krzyżami czerwonymi na burtach i na pokładzie słonecznym.

Najbardziej intensywne bombardowanie "Niemieckiej pomocy powietrznej dla Włoch" znosi obecnie Malta i to znosi prawdziwie po bohatersku, przeciwstawiając się skutecznie nalotom, strącając więcej powietrznych piratów niż to robi ostatnio Londyn. Pomaga w tej akcji znowu Flota. Jaka zaś jest rola tej wspaniałej potęgi na Morzu Środziemnym scharakteryzował doskonale "spec" morski —Sowiecki Komisarz Morski Kuzniecow, którego o sympatie probrytyjskie, mimo wielu złudzeń, posądzać chyba nie można. W Moskiewskiej "Prawdzie" napisał on:

"Zwycięstwa wojsk brytyjskich w Libii i w innych częściach Afryki oraz zwycięstwa Greków w Albanii były możliwe dzięki temu, że Flota Brytyjska mogła zagwarantować transport wojsk i amunicji przez Morze Środziemne, sparaliżowawszy uprzednio Flotę Włoską.

"Samoloty nie mogą zastąpić sił morskich."

Bohdan Pawłowicz

Przegląd polityczny

Bogdan Filoff, premier bułgarski, podpisał układ, na mocy którego Bułgaria staje się krajem zależnym bezpośrednio od rozkazów berlińskich. W gwarze dyplomatycznej nazywa się to "przystąpieniem do osi Berlin-Rzym-Tokio." W praktyce oznacza bombardowanie bułgarskich obiektów wojskowych przez R.A.F. Wojska niemieckie przekroczyły granicę rumuńsko-bułgarską na kilka godzin przed kapitulacją nowego Quislinga. W sobotę wieczorem nakazano zaciemnienie wszystkich okien w kraju, który wbrew woli olbrzymiej większości narodu—znalazł się znów w przededniu wojny z Wielką Brytanią.

Prasa niemiecka i włoska uderza w bęben kolosalnej reklamy, pisząc o "wspaniałym zwycięstwie polityki osi." Szczególnie radio włoskie nastawia swe fale na ton więcej, niż triumfalny.

—"*Dzięki nowemu paktowi*— głosiło wczoraj radio rzymskie—*sztandary włoskie będą powiewały nad Morzem Czarnym.*"

Tymczasem jednak w całej Bułgarii powiewają sztandary niemieckie. O żadnym "zaskoczeniu" mowy nie ma. Hitler dorzucił do swej kolekcji autografów wielkich zdrajców jeszcze jeden podpis—bułgarskiego premiera. I fakt ten nie wpłynął bynajmniej przygnębiająco na opinię Wielkiej Brytanii i wolnego świata. Uwaga Anglii i sprzymierzonych od długiego czasu przestała się liczyć z mastrojami w Sofii, zwracając co raz to większą uwagę na główną stawkę tej gry na Bliskim Wschodzie, to jest na Turcję.-

Nie ulega bowiem watpliwości, że to nowe zwycięstwo bez wojny —jest dalszym ciagiem tych posunięć, które mają na celu polityczne i strategiczne okrażanie i szachowanie poszczególnych państw. Przez zabór Austrii okrążył Hitler Czechosłowacje i zagroził Polsce. Przez zabór Polski okrążył wschodnia i środkowa Europę, zagrażając całemu światu.

Wojska niemieckie, przeprawiaiace się przez Dunai, otaczaia Jugosławie i szachuia Turcję oraz Rosie. Nad Skopie, w jugosłowiańskiej Macedonii, zestrzelono samoloty niemieckie, ale nie wiadomo, jakimi torami potocza sie losy Jugosławii, bedącej od bardzo długiego już czasu terenem działania niemieckiej piatej kolumny. Natomiast zaczyna się wyjaśniać rola Turcji. Wizyta ministra Edena w Ankarze dodała ducha. Sojusz turecko-brytyjski został umocniony. Są poważne dane, że Turcja odeprze ten ogromny, polityczny nacisk, jaki wywiera na nią Hitler i jego satelita, Mussolini.

Niemcy dążą do opanowania trzech dróg: do Persji oraz Indii, do Mossulu i Kirkulu a wreszcie do Kanału Sueskiego i Egiptu. O podjęcie wielkiej ofensywy na Bliskim Wschodzie, żebrze *unter-führer* Mussolini, którego popularność we własnym społeczeństwie jest więcej, niż zagrożona. Poza tym, Niemcy mają w pochodzie na Wschód swoje własne, bardzo poważne cele.

Przede wszystkim chcą otoczyć i to bardzo dokładnie Rosję. Baku i największe źródła naftowe, znajdują się w pobliżu granicy perskiej. A Batum, gdzie jest ujście linii naftowej—leży tuż obok granicy tureckiej. Stalin, który skusił się na ziemie wschodniej Polski, nie mające najmniejszego znaczenia dla Rosji—*może zostać skazany na łaskę i niełaskę Niemców, odcinających jedyne źródło energii popędowej, jakim dysponuje Rosja.* Po zajęciu lub zniszczeniu Baku i źródeł naftowych—*staną na całym obszarze Rosji wszystkie czołgi, wszystkie samochody, traktory, samoloty.* Skończy się wówczas to mołotowskie siedzenie na dwóch stołkach, co gorzej, skończy się niezależność polityczna towarzyszy na Kremlu. Hitler nie krył się nigdy ze swymi planami opanowania Ukrainy, Kaukazu i nawet Uralu. Pozorna utopia może się stać rzeczywistością— i gra ta jest warta dla Berlina dużo kości grenadierów pruskich.

W dalszym ciągu kusi Niemców Mezopotamia, *największe złoża naftowe, i wspaniałe naftociągi, idące z Kirkuku do Trypolisu w Syrii i Haify (Jafy) w Palestynie.* Opanowanie tych linii—jest równoznaczne z opanowaniem całego Wschodu, może nawet całej Afryki; chodzi tu o źródła paliwa lotnictwa brytyjskiego i w ogóle armii brytyjskiej.

Wreszcie, zajęcie Turcji, *doprowadziłoby armie Hitlera, podobnie jak kiedyś wojska Wilhelma II. nad Kanał Sueski, główną arterię światową Wielkiej Brytanii.*

Tak więc, ofensywa niemiecka w kierunku Turcji jest rzeczą pewną. Chodzi tylko o to, aby Turcja przeciwstawiła się naporowi osi.

Powiedzmy od razu, że rząd i sztab generalny w Ankarze posiadają bardzo poważne szanse obrony. W Turcji europejskiej, to jest w Tracji—linia rzeki Marycy jest dobrze ufortyfikowana a przytem z natury niedostępna. Potem jest jeszcze linia Czataldży, na północ od Stambułu, która łączy Morze Czarne z Morzem Marmara. Na tej linii załamał się atak armii państw bałkańskich w 1912. I wreszcie jest morze, dwie cieśniny, Bosfor i Dardanele. Obie dobrze ufortyfikowane zwłaszcza Dardanele z fortami na półwyspie Galipoli.

Przy bardzo wybitnej pomocy angielskiej *zagadnienie opanowania Turcji może przedstawiać się dla Niemców więcej niż poważnie.* Ale wszystko zależy w tej chwili od stanowiska Ankary. Weszliśmy w stadium walki o duszę Turcji i nie ulega wątpliwości, że zbliżamy się do punktu szczytowego w tej fazie kampanii.

Nacisk osi idzie w kierunku wschodu, *ale to wcale nie wyklucza faktu, że wojna może lada chwila rozgorzeć na wybrzeżach Anglii, Szkocji lub Irlandii.* Bułgaria i w ogóle Bałkan, niezależnie od celów, jakie Hitler posiada na Bliskim Wschodzie mogą się stać podobną dywersją, jak Dania i Norwegia przed wielkim atakiem na Francję.

Akcji Niemiec na Bałkanach sekunduje na Dalekim Wschodzie Japonia. Chodzi znowu o zastosowanie hitlerowskich metod okrążania, tym razem bazy anglo-amerykańskiej w Singapore, który stanowi Gibraltar Dalekiego Wschodu. Rząd japoński wytworzył zatarg między Siamem, państwem co raz to bardziej zależnym od polityki uprawianej w Tokio, a francuskiemi Indochinami. Rząd w Vichy, oczywiście pod naciskiem Niemiec—ustępuje krok za krokiem. Wielka Brytania odpowiada na te manewry japońskie zakładaniem min w Singapore, Stany Zjednoczone dalszym wysyłaniem swych okętów wojennych na Morze Japońskie.

Ale polityka rządu w Tokio podlega wahaniom, zostającym w ścisłej zależności od instrucji z Berlina. Odnosi się wrażenie, że na Dalekim Wschodzie będą podejmowane stale manewry, grożące wojną, *ale bez ostatecznego zrywania stosunków Japonii z W. Brytanią i Ameryką.* Do niedawna sądzono w Berlinie, że będzie można sprowokować atak japoński na Amerykę, bez uwikłania się Trzeciej Rzeszy w wojnę ze Stanami. Obecnie, zdaje się, że zmieniono zdanie. *Wojna Japońsko-amerykańska* pociągnęłaby automatycznie za sobą wybuch wojny niemiecko-amerykańskiej. Japonia jest *słaba i wyniszczona wojną,* Stany Zjednoczone co raz to bardziej zasobne w materiał wojenny. *I dlatego Japonii używa się raczej do szachowania W. Brytanii i Stanów, aniżeli do rzeczywistej akcji bojowej.*

tk

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół calą przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.